

B L U S Z C Z

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 12 LIPCA 1930 ROKU

NR. 28

TREŚĆ NUMERU: Etyka czy estetyka?—*M. Benisławska*. W walce o duszę—*Zofja Miszevska*. Poezje: „****” — *Felicja Kruszevska*. Gałązka akacji (dok.)—*Jadwiga Korczakowska*. Chrystus wodę czerpiący ze stoku — *Ewa Szelburg-Zarembina*. Poeta radości—*S. P. O.* Nad jeziorem Lamartine'a — *Stefanja Heymanowa*. Kultura estetyczna—*Stanisław Machniowicz*. Z książek—*S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nazwisko kobiety w świetle przepisów prawnych—*K.* Kwiaty cięte i nasze dokoła nich zabiegi — *Wanda Dobrzańska*. Ceny a ceny—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Modne tkaniny bawełniane—*Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie”—*Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

ETYKA CZY ESTETYKA?

Słyszy się nieraz ubolewania, że jesteśmy przeestetyzowani. Wciąż się mówi o wychowaniu estetycznym, o rozwijaniu od małego — już w dziecku — zamiłowania do zewnętrznego piękna: dziecko ma już w kolebce patrzeć tylko na odpowiednio dobrane kolory, oglądać ładne obrazki, bawić się ładnymi zabawkami. Kobiety tak są przejęte czynieniem zadosyć estetyce, że wydają stosunkowo bardzo znaczny procent swoich dochodów właśnie na ładne — wciąż nowe suknie, kapelusze, okrycia, które muszą nie raz wyrażone estetycznych wymagań i umiłowani.

Niektórzy przebakują, że... tego już za wiele, że dużo kobiet tylko dlatego musi opuszczać na większą część dnia dom i dzieci, brać pracę poza domem, żeby je stać było na zaspokajanie swych estetycznych wymagań, żeby mogły sobie urządzić salon z obrazami, staroświeckim umeblowaniem, dywanami etc. i żeby żaden szczegół w ich toalecie nie raził dobrego smaku. A ile zabiegów około zachowania estetyki swego ciała! Ile wysiłków, by jedno ukryć, drugie uwydatnić, trzecie naprawić, czy usunąć! Ile rozpacz nad tem, co się ukryć i usunąć nie da! A najgorsze to, że taka wyrażona estetyka wchodzi niekiedy całkiem poważnie w kolizję z etyką...

Wydaje mi się, że tu jest nieporozumienie. Etyka i estetyka mogą chyba tylko wzajemnie się wspierać, bo to są rodzone siostry.

Jeżeli, dla zdobycia jakiegoś „pięknego” szczegółu toalety, mającego zapewnić jej wygląd estetyczny, kobieta nie waha się zrobić w domu rodzicom, czy mężowi wulgarnej sceny, jeżeli może zdręzczać

siebie i bliskich rozpacz nad byle odchyleniem od linii estetycznej, jeżeli, słowem, w pogoni za estetyką zewnętrzną zaniedbuje swoje wewnętrzne piękno duchowe — t. j. nakazy etyki — to kobieta taka nie jest wcale przeestetyzowana: jest raczej stanowczo niedoestetyzowana. Estetyka jej jest tylko bardzo cieniuchną warstwą, pokrywającą zgoła nieszlachetny metal duszy. Przytem z pod takich pozłocień zawsze przeświecać będzie to, co jest pod spodem.

Zatem nie oburzałyby się należało na nadmierne, rzekomo, wybijanie u nas zmysłu estetycznego, tylko raczej dążyć do pogłębienia w życiu wewnętrznym tego właśnie zamiłowania piękna.

Estetyka nasza jest i płytka, i jednostronna. Jest odświętna, jest od gości. Hołdujemy zasadzie: zastaw się, a postaw się — za mało nas jednak obchodzi głębia estetyki naszego codziennego życia, życia w rodzinie, życia sam na sam ze sobą.

Estetyka — to nie tylko piękno zewnętrznych form, nie tylko piękno ubrania, mieszkania, otaczającej nas przyrody — ale także piękno uczucia, myśli i czynu, piękno naszej najintymniejszej duchowej jaźni.

Dlatego tak nam trudno i o to piękno zewnętrzne, dlatego tak niewielu osobom, które gorąco pragną być pięknymi, nie udaje się tego celu osiągnąć, że harmonijnem, pełnem, podbijającym pięknem mogą być tylko i jedynie *zewnętrzne objawy piękna wewnętrzne*. Tylko wtedy objawy te są szczerze — rzetelne, bez zgrzytu i bez dysonansu; są tem właśnie, co zwiemy wdziękiem lub urokiem; są czemś, co wydaje

się być całkowicie niezależne od zewnętrznych okoliczności, co potrafi porywać i zachwycać zawsze i wszędzie: ruchem, gestem, spojrzeniem, wyrazem, dykcją, zabarwieniem głosu, może zaś przede wszystkim doskonałym zharmonizowaniem danego objawu z tem, co go wywołało. Taki czar specyficzny drwi sobie często z nieskazitelnej klasycyzacji rysów, nie gasi go siwizna, jest nieśmiertelny, rozlewa się słonecznie dookoła, promieniuje na wszystkich i na wszystko, niezależnie od płci lub wieku.

Ten typ istoty, całkowicie i doskonale estetycznej, nie jest u nas zjawiskiem częstym. Przeciwnie: piękne panie jakże często bywają *nieładne!*

Nasz polski wyraz „ładna“, ze swoim rdzeniem *ład*, t. j. porządek, harmonja, skoordynowanie szczegółów — doskonale oddaje pojęcie piękna estetycznego, jako objawu nazewnątrz piękna wewnętrznego — etyki właśnie.

Dopóki w pogoni za wyrazem tracimy treść, dopóty niepowodzenia są matematycznie pewną koniecznością. Kobieta, którą natura obdarzyła rysami nieposzlakowanymi, która bezdeń pracy i wysiłku poświęciła na podkreślenie tego daru przyrody doбором szczegółów toalety — nie robi jednak wrażenia doskonałego piękna. Dlaczego?

Ci, którzy się jej przyjrzeni, oceniając szczegóły — świadczą, że ma piękne oczy, ładny wykrój ust, nos grecki, linję cudowną — słowem, jest to piękna kobieta w pięknej sukni. Tylko, obcując z nią,

nie odnosi się upojnego szczęścia obcowania z uosobionym pięknem. Wrażliwi estetycy twierdzą, że nie ma wdzięku; zarzucają, że jej uśmiech robi wrażenie grymasu, że „brzydko nosi głowę“, że jest „niemila w ruchu“ i t. p., i t. p.

Istotną jednak przyczyną jest raczej to, że owa piękna — pracowicie i wyszukanie piękna pani — nie jest piękną do dna; że całe dziedziny piękna leżą odłogiem, niekultywowane, zachwaszczone, psujące wrażenie harmonji stokroć brutalniej, niż np. szkaradny, rozdeptany trzewik przy pięknej, eleganckiej sukience.

Nie, stanowczo nie jesteśmy przeestetyzowani! Nie mówiąc nawet o podstawowym pięknie ducha, jakże często brak u nas — przy skrupulatnych zabiegach o elegancję — poprostu dbałości o czystość: czystość osobistą, czystość mieszkania, zwłaszcza tych ubikacyj, dokąd się nie przyprawdza gości.

Przy pilnem przestrzeganiu form towarzyskich wobec obcych, nader często się zdarza krańcowe ich zaniedbanie w stosunkach z najbliższymi, kiedy zapomina się tak łatwo, że prawdziwa wytworność, odzwierciadlająca wewnętrzne szlachectwo, nie może zależeć od przypadkowego otoczenia i pozostaje wytwornością nawet wobec samego siebie — jest podstawową częścią pięknego „ja“.

Wtedy estetyka z etyką łączy się w jedno, jest poprostu jej zewnętrznym wyrazem. *M. Benistarska*



ZOFJA MISZEWSKA

W WALCE O DUSZĘ

Niepodobna pisać o Zjednoczeniu Młodzieży Polskiej, nie wywołując obrazu rozległej, barwnej łąki, obramowanej wyżej szarozielonemi pasmami Beskidów, trochę niżej ciemno-granatowym lasem, a najniżej wstęgą Wisły, w tem miejscu bardzo jeszcze wąskiej i naiwnej.

A na łące ruchliwym korowodem miga gromada chłopców, przyodzianych, a właściwie rozdzielanych sportowo, wyczyniająca z przedziwnym ferworem jakieś niesłychanie sportowe łamańce. Wszystko w atmosferze, przepojonej słońcem i od samego bodaj jeszcze słońca jaśniejszą radością życia, przenikającej do najbardziej spesymizowanych i zszarzałych miastem dusz.

Na takim tle właśnie i w takiej atmosferze nastąpiło moje pierwsze zetknięcie ze Zjednoczeniem. Coś się tam kiedyś o tem słyszało, coś mi się objaśniało o uszy, ale sucho i teoretycznie, zawarte w ramach sztywnych formuł i wiele, ale jednostronnie mówiących cyfr. Teraz zaś poznanie jego statutu i ideologii przyszło do mnie wprost z życia i odezwało się jakimś niesłychanie wymownym językiem, wyjaśniającym mi odrazu wszelkie możliwe tajemnice i nie-dopowiedzenia.

Oto zobaczyłam poprostu gromadę, złożoną z 50-ciu chłopców, przeważnie ze wsi lub ze sfery rzemieślniczej, z których twarzy jakaś dobroczynna, kochająca ręka starła piętno nędzy, szarą otępia-



Młodzież na konkursowych pólkach kukurydzy.

łość zmęczenia, błędne i ciasne koło myśli, a często nawet brudne ślady grzechu. Wszystkie 50 twarzy zdrowych i ogorzałych patrzyło z uśmiechem w oczy słońcu i światu, a w spojrzeniach, dziwnie czystych i szlachetnych, czuło się świeżo z wiekowego snu rozbudzoną duszę. Doprawdy, wielka musiała być moc tych z góry, gdy zdołała znaleźć i rozbudzić tę Duszę w zahukanych przez nędzę i nieświadomość twarzach i pokazać ją światu, triumfalnie mówiąc: taka jest, a takie oto rozległe ma możliwości!

I mimowoli w umyśle biernego, jak ja wówczas. widza, powstaje pytanie: jaką drogą szła ta Wielka Praca?

Zjednoczenie Młodzieży Polskiej jest tak dawne, jak nasza Nowa Polska, gdyż zostało założone dnia 27 lutego 1919 roku, a rok 1928 był dziesiątym rokiem jego istnienia. Praca jednak tego dziesięciolecia była naprawdę ciężka; nawet nie nieurodzajnością gleby, nawet nie trudnościami technicznymi, ale prosto ilością dróg, jakimi Zjednoczenie musiało kroczyć jednocześnie, bez żadnych dostrzegalnych opóźnień. Prosto, możliwości podejścia do



Wycieczka Zjednoczenia Młodzieży w strojach krakowskich.

naszego chłopca czy rzemieślnika są tak wielorakie i tak jednocześnie powinny być realizowane, by wydajność ich doszła do maksimum, że uwaga kierowników musi być, jak łuk naprężona, by nie przeoczył jakiegось jednego punktu nieodzownego dla ogólnej harmonii pracy.

To też plan pracy Zjednoczenia poszedł w następujących kierunkach: wykształcenie i wychowanie religijne, wyrobienie obywatelskie i społeczne, wychowanie gospodarcze i zawodowe, dziedzina ogólnego wykształcenia, kultura i sztuka, wychowanie fizyczne, praca społeczna i dobroczynna, oraz życie towarzyskie.

Jak widzimy, Zjednoczenie pragnie zamknąć w swoich ramach całokształt życia ze wszystkimi jego przejawami, aby potem kierować tem życiem młodzieży według własnej woli i rozsądku. I rezultaty ma doskonałe: wszelkie zebrania i konferencje cieszą się wielką frekwencją młodzieży, która gar-



Kółko sportowe Zjednoczenia Młodzieży Polskiej.

nie się zarówno do wiedzy ogólnej, jak i fachowej. Co do tej ostatniej, to przeprowadzony w otatnim roku kurs gospodarstwa wiejskiego dał doskonałe rezultaty, oraz sławny w Zjednoczeniu Konkurs Kukurydziany, który taką radością i dumą nappełnił młodocianych laureatów. Również wielkiem powodzeniem i uznaniem cieszy się dział wychowania fizycznego, urządzający rok rocznie obozy letnie, jak ten, z którym się zetknęłam w Hermanicach, na Śląsku Cieszyńskim.

Pozatem Zjednoczenie posiada szereg czasopism, jak: „Kierownik Stowarzyszenia Młodzieży“, „Przyjaciel Młodzieży“ i „Młoda Polska“, które wzdłuż i wszerz Polski rozwijają ideę wspólnej pracy nad odnalezieniem nowych, szczytnych dróg. I idee te znajdują radosny oddźwięk. Zarówno Stowarzyszenia (lokalne), jak i Związki (diecezjalne), a przede wszystkim centrala ogólnokrajowa — Zjednoczenie — drży i tętni od nateżenia pracy, jak wielka hala maszyn: Zjednoczenie rozsyła po całej Polsce

złote iskry zapalu, od których płoną serca coraz szerzej i szerzej, kręgiem.

Związki, należące do Zjednoczenia, można podzielić na 3 kategorie: 1) Związki męskie, które istnieją w: Częstochowie, Kielcach, Krakowie, Poznaniu, Tarnowie, Mikołowie, Przemyślu i Płocku; 2) związki żeńskie, mające swe siedziby w: Częstochowie, Katowicach, Kielcach, Krakowie, Poznaniu, Płocku, Przemyślu i Tarnowie; 3) związki mieszane: w Kowlu, Lublinie, Łomży, Łodzi, Pińsku, Radomiu, Siedlcach, Warszawie, Wąbrzeźnie, Wilnie i Włocławku.

Jak widzimy, Polska jest starannie obsiana temi ogniskami oświatowo-kulturalnemi.

A teraz pozwolę sobie przytoczyć kilka cyfr: do Zjednoczenia należy 28 Związków, w których ogółem jest 3647 stowarzyszeń. Ogólna liczba członków wynosi 125,349 osób.

Liczba poważna i napełniająca serca otuchą, tembardziej, jeżeli brać pod uwagę, że do Zjednoczenia, jak wyżej zaznaczyłam, należy przeważnie młodzież wiejska i rzemieślnicza. Nie chciałabym

używać zbyt mocnych słów, ale to byli jednak doniedawna parjasi ducha. Od wieków psychika ich leżała odlegiem, jak urodzajne, a przez nikogo nie uprawiane pole, które wkońcu tak zarosło chwastem, że nikt o uprawianiu go nie chciał nawet myśleć. Aż przyszli tacy, co zaczęli pracować w pocie czoła i wypracowali sobie bujny plon. Bo kto wie, co jeszcze w darze przyniosą swym wychowawcom te świeżo rozbudzone dusze młodzieży; zawarte są w nich tysiące możliwości złych i dobrych, tysiąc bogactw. Kto wie, jakie będą, gdy do reszty zrozumieją same siebie i świat je otaczający. Wyrosną z nich zapewne nowi obywatele nowej Polski, a może i nowego porządku świata.

Wszystko teraz faluje i przelewa się, zmieniając formę: kto wie, jaką ona będzie? Kto wie, czy nie ta właśnie, przez Polskę wychowywana młodzież proletarjacka tworzyć będzie tę nową formę? Kto wie, czy od czystości ich rąk i dusz nie będzie zależała wartość nowych wytycznych życia? Bo, jak powiedział Krasiński: „ma się pod koniec starożytnemu światu“. Należy więc dla nowego świata stwarzać nowych ludzi.



FELICJA KRUSZEWSKA

* * *

*Chodź ze mną do raj, mój miły. Może to serce zniesie,
żeby się zgubić, zablakać, stracić w Zemborskim lesie.
W paprocie wejść po ramiona. Niech się przy piersi kołyszą.
Jak szumi, jak brzęczy, jak dzwoni! To las oddycha tak ciszą.
Ptaki — wiadomo — z nich każdy gotów się zmierzyć z słowikiem.
Posłuchaj! Jest jeden znajomy! To on mnie zęgnął krzykiem.
Chodź dalej, tędy dojść można do jednej pochylej sosny,
najbardziej w świecie nieczulej, najprzecudowniejszej litosnej.
Nad dróżką zarosłą brzoza drobne listeczki przelewa.
Poczekaj, poczekaj, mój miły. Tak trudno odejść od drzewa.
Weź w usta rosy kropelkę, nim spłynie po liścia atlasie.
Tam obok w krzaku jałomca masz male gniazdeczko ptasie.
W dół lepiej mnie sprowadź, na groblę, bo potem nie znajdziesz już sily.
To niebo leży na łące, dotknij go ręką, mój miły.
Wiatr listki piołunom odwraca i trzciny wygina srebrne.
Ach, pilnuj mojego serca, jeżeli ci potrzebne.
Bo tu, na grobli, na dróżce odetchnie, stanie i skoczy,
w górę się porwie, upadnie. Brzegiem się w trzciny potoczy.
Pożegna cię głosem jaskółki, zapachnie gorzko, jak ziele,
modą popłynie do młyna. Młyn je drobniutko zmiele.
Wezmą je fale Bystrzycy zwinne, gładziutkie, plusz zące;
zginie! Wsiąknie w ziemię brunatną —
i zakmitnie stokrotnie na łące.*

JADWIGA KORCZAKOWSKA

2)

GAŁĄZKA AKACJI

— Nogi pierwsza klasa!

Bardzo zbliżona uderzyła wstydem rumianym w twarz, rubaszne, nieprzyjemne słowa.

— Niech panienka nie udaje, niech panienka nie ucieka!

Ordynarnie roześmiana twarz obcego mężczyzny.

Kosmate łapy łęku chwytają za plecy, podcinają nogi pręty bolące, ostre. Szaro w oczach. Tuż za plecami czai się zły śmiech, czai się niebezpieczeństwo. Trzeba uciekać szybko, ostrożnie, żeby nie roztrącać przytulonych do siebie par. Uciekać długo naprzód... Nareszcie przeszedł, minął; schowała się za żelazny kiosk.

Wolno odpływa krew od serca. Mdły wstręt aż dusi gardło. Jest nagle brzydko, głupio, ciemno, źle. Chaos w myślach. Jak długo trwała ucieczka? Czy nie wróci ten zły, obcy człowiek? Czy ludzie nie widzą ciemnego mundurka, wciśniętego w popłochu między sztachety, a kiosk? Zaraz obok — ławka. Możeby tam usiąść? A jeżeli siedzący na niej ludzie są równie źli, jak tamten?

To siedzi kobieta z mężczyzną (rózowieje wyraźnie plama kobiecej sukni). Plecy ich zlewają się w jedną dwucieniową plamę, głowa damy oparta o ramię pana.

Jakoś nie można od nich oderwać ciekawego wzroku.

Nie słyhać nawet szeptu. Ale muszą się tam cześć słowa słodkie i ciepłe, jak miód. Jest prawie ciemno, światło ledwie się sączy przez gęstwinę liści wielkich, rozłożystych kasztanów. W pewnej chwili szybko, ukradkiem zbliżają się ich profile w pocałunku. (Ach, więc poto uciekają ludzie do ogrodów... ach, więc to jest urok mroku?...). Zajrzeć tej pani w twarz — nagle, przemożna chęć. To jest taka kobieta, która nazywa się bezwstydną. Nie można odejść, trzeba koniecznie, koniecznie zajrzeć tej pani w twarz! Upływają wieki sekund. Jeden cichy krok, dwa, trzy... Pani bawi się gałązeczka kwiatów... różowa suknia... jasny słomkowy kapelusz... na ramionach... Boże, Boże!... to matka!

Tak! Napewno tak. I nic nie pomoże myśleć, że nie. Nina!

Oto rozluźniają się sploty ramion, wstaje wolno jasna, wiotka sylwetka. Czarny, niewiadomy cień mężczyzny idzie blisko nagich, znanych rąk...

Na ziemię usuwa się zapomniana gałązka.

Nie, napewno nie można teraz krzyczeć, gonić, pytać. Można tylko zapłakać szczerze, cicho. Można podnieść z ziemi gałązkę (akacja!) i całować jej cie-

ple, słone od łez kwiatki. Zapomnieć, że to ulica i, uciekając do domu z sercem przepelnionem goryczą, myśleć bez sensu:

Matka. Nina. Matka.

Mrok — to zupełnie ciemna pustka niezrozumienia.

W domu matki nie było. Nie było nikogo. Nie można było zasnąć w żaden sposób. Za tapetą w niebieskie ptaki nikt się nie poruszył, nie wszedł. Nikt nie przyszedł do złotej sypialni. I to było nie do zniesienia; w tem czaiło się krzywo uśmiechnięte zło, gorzkie, chropawe, jak grzech. Godziny nocy złożyły się z milczenia i bladych snów, omotanych na akacjowe ciernie.

...Więc dobro?...

To jest coś nieuchwytnego, bez formy.

A grzech, zło?...

Grzech pachnie „Narcisse noir“.

Wsiąkają wszystkie łzy i wszystek żal w tajemniczą nieobecność jej, matki.

Delikatnie rozchylić zmęczone powieki: patrzcie... przez księżycową poświatę letniej nocy wsącza się nieodpartą klątwą poczucie krzywdy, zła, które nie ma początku, ani wytłumaczenia.

Powiedzieć? — to się nie da — nie będzie siły mówić.

Bose nogi skradają się cicho do pustej sypialni. Dłonie kładą na złotej kapie matczynej łóżka małą, zwiedłą gałązkę akacji. (Może zrozumie?...).

Teraz można usnąć.

Na dworze świta.

*

O tem się nie myślało. Właśnie o tem, że jest piętnastoletnia córka. Właśnie o tem, że jest piętnastoletnia córka. Dosia ma swoje książki, szkołę, męża ma chorych — a dla siebie samej ma się miłość.

To było zupełnie proste. Z rozkoszą skończyło się z pieluszkami, krzykiem, karmieniem. Można było teraz znowu żyć dla siebie. Jakoś nie przyszło na myśl nigdy, że Dosia czuje, myśli; że tuż obok, za złotą ścianą, dorasta drugi człowiek — kobieta.

No tak, tak.

Aż teraz rano, płochliwym grzesznym świtem — ta gałązka! Napewno ta sama (trzy liście, dwanaście płatków, jeden cień).

Szybko: oburzenie, strach, łuna wstydu. Była tam, wie, rozumie?!

Nazajutrz wiedziała napewno. Oczy córki były głębokie, krył się w nich mrok poznania, wyrzut prawdy. Opadł na dno duszy piasek zwątpień. Dzień prze-

szedł milczący, ciężki. Dopiero wieczorem przy Dosi-
nem oknie:

— Dosiu, to ty? Akacja?... — nieśmiało, prawie
placzkliwie zapytanie ślicznych oczu.

— Tak, mam, wiem...

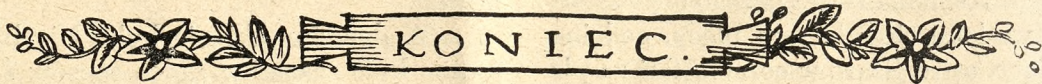
Akacja za oknem tak samo chybotwała gałązkami
na wietrze.

Ale w sercu było dużo mocy i prawdziwej wspa-
niałości, a w oczach wilgoć tkliwych łez. To

czuło się napewno, radośnie, że jakieś odnowienie, do-
bro, cud! Nie było Niny. Blisko siedziała dorosła, cier-
piąca kobieta i czekała przebaczenia. Dwie dusze
zwarły się w pierwszy, przyjacielski, miłosny uścisk.
Ach, można było nareszcie upaść na kolana i powie-
dzieć to wymarzone:

— Wytłumacz mi, mameczko, dlaczego...

Gdzieś na łąkach, daleko, daleko wzniósł się nad
błękitny rzek kwiatowy opar lata...



EWA SZELBURG-ZAREMBINA

CHRYSTUS WODE, CZERPIĄCY ZE STOKU

Susza trwała wciąż.

Jakże słodkim byłby dla ludzi widok nieba,
okrytego buremi chmurami, plwającego sinemi błyskawicami,
zgrzytającego ognistym gromem!

Ale ono, niebieskie całe, błyszczące słoneczną po-
lewą, bez zmyy najlżejszego obłoczka, wisiało nad
ziemią straszne, jak najstraszniejsze przekleństwo.

Więc ludzie już nawet nie podnosili ku niemu
głów z nad spopielanej ziemi.

Ciężkie, jak kamień, serca podchodziły do spie-
czonych gardzieli, ale słowa modlitwy przestały już
zrywać się z warg, okrytych strupami.

Wraz ze studniami po wsiach wyschło i źródło
ufności w piersiach ludzi, dręczonych pragnieniem,
a także dręczonych widokiem pragnienia niemych by-
dła i bezwinnych zbóż i ogrodowizn.

Leśne i polne ptaki, nie mogąc zachwycić kropli
rosy w zgorączkowane dzioby, obsiadały chrypiącą
gromadą cuchnące, aż do mułu obnażone, łożyska sad-
zawek i leniwych łącznych sączków, a bezgłosy
tłum ryb umierał bezopornie w każdej jakiej-takiej
głębi pod trzciniami.

Nad ginącymi wodami stała sucha, pałająca
śmierć i długimi piszczelami rąk sięgała chciwie do
gniazd ptasich, do nor zwierzęcych, do domostw ludz-
kich!

— — — — —
W domu Szymona Datury leżało dotknięte ręką
śmierci dziecko — chłopak z pierwszej żony, Mar-
cjanny.

Na przepoconych kraciastych piernatach posta-
rzała chorobą twarz dziecka dziwnie podobna jest do
twarzy matki.

Wzdryga się Szymon...

... Tak właśnie leżała dziobata Marcjanna, gdy
ją wówczas przynieśli z sadzawki i ułożyli na tem
właśnie łóżku. Takie same wilgotne plamy rozkładały
się złowrogo na kraciastej poszwie wokół jej zapa-
dłych skroni.

Tylko, że tamto była woda, a to jest pot.

Ciemna, straszliwa myśl wylęła z pościeli nie-
boszczki, wypelza teraz z pod rozpalonego ciała
dziecka i krąży omackiem po izbie.

Jest ślepa i z trudem szuka Szymona.

Szymon uchyla się z zapartym oddechem.

— Nie! nie! — krzyczą wszystkie wnętrzości
w Szymonie (wszystkie, prócz jednego serca) — nie,
nie. Nie jesteś temu winien, że Marcjanna miała płą-
sawicę. Nie jesteś winien, że utopiła się w sadzawce.

Plakałaś, gdyś ją zastała umarłą...

— I do ślubu z Różgą Jędrzańką wytrzymałem
całe sześć niedziel — świadczy za sobą Szymon.

Ciemna, straszliwa myśl, krążąca omackiem po
rozprażonej izbie, wczługuje się z powrotem pomiędzy
kraciaste pierzyny.

Z przepoconych poszew dźwiga się teraz główka
chłopięca na cienkiej, piskłej szyi:

— Ociec...

Szarpnęło się serce w Szymonie. Miłością ku
pierworódnemu zalało się, jak żywą krwią, całe.

Miękkie matczyne słowo tłucze się nieporadnie w twardym ojcowskim gardle, po za nienawykłe wargi przedostaje się z trudem, zmienione i chrypliwe:

— Sy-nu-niu...

— Pić — skrzeczą zaskorupiałe dziecińskie usta i rozdziawia się bezbronne czerwone gardziółko, okryte białą pleśnią.

Szymon, schylony nad łóżkiem bezradnie kołysze w zdrewniałych dłoniach pustą blaszaną kwartę.

Niema wody! Ni w studni, ni w stoku. Niema nigdzie.

— Pić!

Szymon pochyla się jeszcze niżej i niezgrabnie przykłada do zakłębionych kościanych skroni dziecka swoje kołkowate, zwilżone gorzką śliną palce.

— Pić!

Stępiony w śmiertelnym pragnieniu, głos dziecka, jak zardzewiały nóż, rżnie serce ojca.

Matka znalazłaby w swych wyschłych pierśsiach ożywczą strugę mleka dla tych ust pragnących... Marcjanna!

Szymon rozgląda się bezradnie dokoła.

Druga żona Szymona, Różga Jędrużanka, rozdżiana do koszuli, różowa, jak krew z mlekiem i pachnąca potem, jak chleb świeżo z pieca wyjęty, chłodzi się w otwartych na przestrzał drzwiach komory, splatając długie jasne włosy w jeden ciężki warkocz.

Szymon odwraca od niej twarz pociemniałą.

Odwraca twarz od młodej żony ku czarnej pasyjce, stojącej w głowach chorego dziecka nieboszczki Marcjanny.

Na malutkiem, czarnem drewnie rozpięty za nogi i za ramiona, wisi malutki, kościany Chrystus.

Przed Nim to pada na kolana wielki, nieugięty chłop, Szymon Datura. Mocne, twarde ręce składa pokornie i prosi tak żarliwie, jak prosiłaby pokorna, słaba Marcjanna:

— Panie-Jezu-Chryste!

I tak gwałtownie, jak uczyniłaby to, nie po za swoją macierzyńską miłością nie widząca matka, porywa ojciec ze ściany czarny krzyż z kościanym Chrystusem, wybiega z izby i bez zastanowienia zanurza Go w ocembrowanie wyschniętego stoku.

— Panie-Jezu-Chryste... jeżeli zechcesz... zaczerpniesz wody... dla mojego dziecka.

I tak, jak po tym nadludzkiej śmiałości czynie, siły opuściłyby nawet matkę, tak bez tchu w omgłanym sercu osunął się ojciec na suchy zrab stoku.

— — — — —
Poprzez zamknięte powieki poraziła leżącego Szymona jasność.

Ale gdy dzwignął się i otworzył oczy, jasności nie zobaczył.

Zobaczył natomiast idącego od stoku ku chacie człowieka z dzbanem, pełnym wody.

Człowiek był nagi, przez biodra szmatą płócienną przepasany. Z ubiczowanych Jego obnażonych pleców sączyła się wąskimi strużkami, krzepnąca w słońcu krew... Jego ręce i stopy były przebite... z lewego boku, między wystającymi żebrami, obciążniętymi chudą skórą, otwierała się szeroka rana.

— Jezu! — zawołał Szymon — Jezu!!!

Idący odwrócił głowę i spojrzał na Szymona:

— Naczerpałem wody dla twego dziecka — rzekł. — Idę je napoić.

— — — — —
Szymon nie śmiał pójść za Chrystusem. Został u stoku, w którym teraz bulgotała zimna, jak lód, woda.

Czekał.

Po długiej chwili ujrzał Szymon, iż Chrystus stoi w progu chaty i przyzywa go przebitą dłonią.

— Szymonie — rzecze Chrystus. — Dziecko twoje napojone zasnęło snem zdrowia.

— Panie-Jezu-Chryste! czym Ci się odwdzięczę?...

— Przybij mnie, Szymonie, napowrót do krzyża — rzekł Chrystus.

Zatrzęsły się w Szymonie wszystkie wnętrzności!... stanęło w Szymonie serce!... ze zgrozy zdrętwiały członki!...

— Panie! coś rzekł? Jakże ja mam wbić gwoździe w Twoje żywe ciało? Raczej sam umarłbym, Panie!

Uśmiechnął się Chrystus łagodnie. Uśmiechnął się smutnym uśmiechem:

— Szymonie, Szymonie. Co dnia, co godzinę przybijasz mnie do krzyża myślą, mową, uczynkiem.

Co dnia, co godzinę krzyżujesz mnie w jaskini serca twego, w ciemnicy duszy twojej. Czemu lękasz się uczynić to w słońcu?



POETA RADOŚCI

(Sylwetka pośmiertna ś. p. Juljana Ejsmonda)

Juljan Ejsmond nie żyje. Katastrofa samochodowa na drodze z Morskiego Oka do Zakopanego przecięła jedno z najbardziej pogodnych istnień i radosnych talentów, jakie kiedykolwiek wydała ziemia polska.

Nam, którzyśmy w ostatnich dniach jego życia mieli sposobność znaleźć się w czarującym kręgu tej promiennej radości, jest tak, jakbyśmy poranek składali do grobu. I myślę, że to wrażenie podzielają z nami czytelnicy jego poezyj dziecięcych, jego bajek, jego opowieści łowieckich, wreszcie jego prześlicznych przekładów poezyj łacińskich, które swego czasu drukował również i w „Bluszczy”.

Czegokolwiek się dotknął, wszystko przemieniał w uśmiech, ze wszystkiego umiał wysnuć świetlistą nić radości. Twórczość jego była, jak ul, pełen złoto-wonnego miodu, którym sycić się mógł dowoli każdy przechodzień. Nietylko dla wybrańców, ale dla szerokich mas dostępne były jego słodycze. Pszczoły, krążące około tego ula, miały wprawdzie żądła, ale nie miały jadu. Gorycz i zjadliwość obce być mu-



ś. p. Juljan Ejsmond.

siały człowiekowi, który tak, jak Ejsmond, kochał słońce, naturę i dzieci.

Czy kochał także człowieka? Niewątpliwie — tak, i to nie zaślepioną miłością marzyciela, która zwykle kończy się zawodem i pesymizmem życiowym, ale zdrowym uczuciem humorysty, w którym odstępstwa od ideału budzą raczej instynkt komizmu, niż odruch oburzenia. I dlatego bajki Ejsmonda, z nieomylnym chwytem wydobywające na jaw aktualne bolączki chwili, nie godzą nigdy w jednostki.

Ejsmond każdym trafnym dowcipem cieszył się, jak dziecko znalezionej jagódką i, jak dziecko, pragnął podzielić się nią z towarzyszami. W tym wielbicielu łowów, w tym miłośniku poetyckiego sam na sam z puszczą, która dziecku słońca chętnie zwierzała swoje tajemnice, tkwił silny instynkt zbiorowości, potrzeba wspólnoty duchowej, właściwa jednostkom o głęboko zakorzenionej kulturze. Ta właśnie kultura, w połączeniu z bezpośredniością wrażeń i odruchów, czyniła z Ejsmonda zjawisko wprost wyjątkowe w środowisku powojennem: człowieka, który umiał być dowcipnym i wesołym, nawet rubasznym, nie tracąc nic ze swego wrodzonego wykwiutu. Wytworność form w życiu i poezji była u niego czemś tak organicznie z nim zrośniętą, jak naskórek z ciałem.

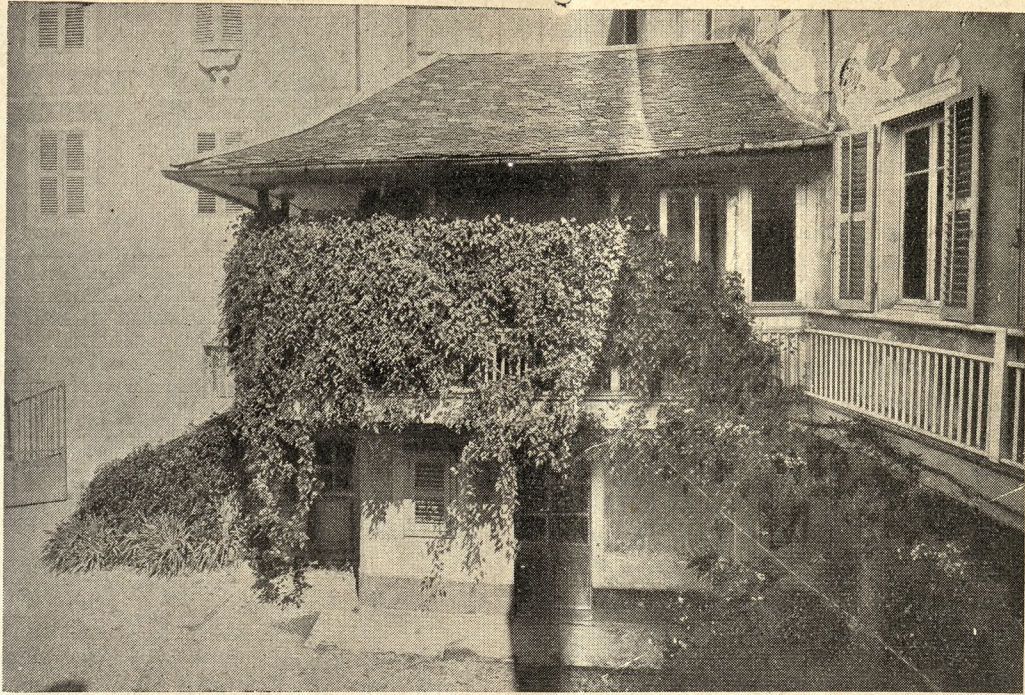
Do życia podchodził od jego najpiękniejszej strony, nie przez naiwność, ale z wolnego i świadomego wyboru. Niedarmo parafrazował Horacego, Owidjusza i innych klasyków. Łączyło go z nimi wewnętrzne pokrewieństwo. Ten radosny słowianin miał duszę greckiego efeba, którą cudem udało mu się ocalić od rozłamu z rzeczywistością. Całkowitej z nią harmonji szukał „pod lipą czarnoleską”, w kongenjalnych przekładach Kochanowskiego i łacińskich poetów polskich.

Dusza dziecka była dlań ośrodkiem poetyckiego na świat patrzenia. Z rzadką u mężczyzny tkliwością odczuwał i opiewał wszystkie uroki niemowlęctwa. Ze swymi synkami przeżywał poraz drugi własne dzieciństwo. Nie zniżał się do dziecka, ale wcielał się w jego maleńką psyche, w której, jak w pąku kwiatowym, zamknięta była cała mądrość i słodycz przyszłego owocu.

I tu znajdziemy klucz tej powszechnej sympatii i zrozumienia, z jakim witano każdy jego utwór — tego szczerego i głębokiego żalu, jaki towarzyszy jego przedwczesnej śmierci. Z Ejsmondem odchodzi przeciw od nas najpiękniejsza częśćka naszej własnej młodości.

Słodka pasieczniku pieśni polskiej! Ziemia, którą tak ukochałeś, nie powinna dać zaznać Twoim dzieciom goryczy sieroctwa.

S. P. O.



Dom Lamartine'a.

STEFANJA HEYMANOWA

NAD JEZIOREM LAMARTINE'A

Wystarczy znaleźć się gdzieś na południowozachodzie Europy, ażeby przekonać się, że kolej parowa staje się lokomocją, którą się jeszcze toleruje, ale która powoli zaczyna przechodzić do historii. Zarówno we Włoszech, jak w Szwajcarii, większość linii jest już zelektryfikowana, zaś najbardziej rozpowszechnionym środkiem komunikacyjnym między Szwajcarią, a południową Francją staje się samochód. Doniedawna arystokratyczny i rzadko komu dostępny, przybrał dziś popularną formę „autocar'u” i stanowi groźną konkurencję dla kolei.

Takim właśnie autocarem wyruszyliśmy z Genewy do Aix-les-Bains.

Niespodzianka, jaka czekała nas w Aix, wynagrodziła mi częściowo zawód, zgotowany przez pogodę; przez cały czas jazdy prawie nie widziałam pięknych widoków, gdyż dzień był dżdżysty i góry nałożyły wielkie czapy z chmur, pod którymi całkowicie się skryły. Dopiero za miasteczkiem Annecy wyjrzało słońce i wtedy po raz pierwszy piękna ziemia sabaudzka, odrzuciwszy welon z mgieł, ukazała nam swe oblicze, pełne łagodnego uroku. przepojone spokojem i dosytem.

Aix-les-Bains okazało się o tyle miłsze od innych miejscowości tego rodzaju, że, dając kuracjuszowi pełnię wygód i możliwości reparowania zdro-

wia, nie zmusza do robienia z kuracji uroczystego obrządku, co — jak sądzę — należy przypisać duchowi rasy, umiejącej dla wszystkiego znaleźć leką i miłą formę.

Weźmy, naprz. — kąpiele. Za niewielką opłatą otrzymuje się karnecik, w którym są wypisane dni i godziny kąpeli. Z automatyczną punktualnością o danej godzinie i minucie otwierają się drzwi rajy (zasługuje chyba na tę nazwę miejsce, gdzie przywracają ludziom zdrowie?), w którym człowiek poznaje rozkosze t. zw. „douche-massage”, czyli masażu, wykonywanego przez 2 specjalistki (specjalistów) pod silnym prądem bieżącej wody. O skutkach tego zabiegu nie chcę mówić, zanim ich nie odczuję na własnej skórze, narazie mogę tylko stwierdzić, że jest on niezmiernie przyjemny. Przypuszczam też, że sława „douche-massage”, stosowanego przy cierpieniach artretycznych i reumatycznych, musi mieć swoje uzasadnienie.

Ale wróćmy do „techniki” kuracyjnej. Osoby bardziej chore lub poprostu takie, które stać na to, przynoszone są do kąpeli w specjalnych lektykach — i w ten sam sposób odstawiane do domu. Taka lektyka, z zasłoną w kolorowe pasy, pod którą ukryty jest jakiś sfinks (zresztą — rzadko interesujący), wygląda wśród otoczenia zwykłej europejskiej ulicy niezmiernie egzotycznie.

Kuracjusza, a zwłaszcza kuracjuskę, chcącą utrzymać się „w stylu”, obowiązuje rano specjalny strój kąpielowy, składający się z flanelowej pyjamy z kapturem, w formie kostjumu lotnika. Konieczność szczelnego okrycia się po kąpeli nie pozwala na więcej kokieterji, to też narazie „moda” ta jest jeszcze bardzo mało urozmaiconą (do czasu, mam nadzieję) i dla pań i panów — jednakową. Wygląda się w tem trochę, jak eskimos, a bardziej jeszcze, jak zbieg z domu warjatów.

Tem, co stanowi specjalny urok Aix, jest bliskość pięknego jeziora Bourget, unieśmiertelnionego przez Lamartine'a (w poemacie „Le lac”). W domu, w którym mieszkał Lamartine i w którym przeżył romans z Elwirą, urządzono z wielkim smakiem maleńkie muzeum pamiątek, związanych z życiem i twórczością poety.

Kiedy wstępuję na górę po skrzypiących schodach, czuję obejmującą mnie falę romantyzmu. Drzwi się zamykają; jaskrawa i zgiełkliwa współczesność zostaje poza nami. Staruszek-dozorca ma tyle taktu, że uwalnia nas od swej obecności, pozostawiając rolę przewodnika niewidzialnemu duchowi poety, który nas oprowadza po świątyni swej Miłości. Staram się wyczuć, czy istotnie „jest coś dziwnego w tym domu, zwanym **Pension Perriet**, gdzie napozór wszystko jest skromne i spokojne, a jednak kryją się tam jakieś perfidyjne uroki” — jak pisze G. Reval *). „We wnętrzu ziemi, na której stoi ten dom, szumi i kipi woda, woda, która — jak djabeł —



Jezioro Bourget.

ma woń siarki i pochodzi ze studzien piekielnych. Rzymianie ją uwięzili: zbudowali tam termy *), które były miejscem, poświęconem także rozkoszy. Jakie dziwne wołania dochodzą z łona tej rozpalonej ziemi!”

Chociaż woda dalej „kipi i szumi” we wnętrzu tej ziemi — wołania namiętności, którym uległa piękna Elwira, dziś napewno nikt już w domu tym nie słyszy. Wszystko tu technie melancholją rzeczy dawno minionych, jest łagodne i smutne, jak poezja Lamartine'a. I żadna moc „piekielnych studzien” nie jest w stanie wskrzesić miłości tych dwojga pięknych istot, których portrety spoglądają na nas ze ścian maleńkich pokoików.

Ale wróćmy do jeziora. Doskonała komunikacja samochodowa z Lac Bourget (co pół godziny autobus) pozwala bywać tam codziennie. Amatorzy sportów wodnych mogą korzystać z kąpeli, mają do rozporządzenia łódki, motorówki i żaglówki. Ci, którym do kontemplacji pięknej natury nieodzowna jest jakaś konsumpcja, mają nad brzegiem jeziora kawiarnię, zaś automobiliści — ah, tym jest zawsze najlepiej! — mają nadzwyczajną szosę, biegnącą tuż nad brzegiem wokół jeziora. Zato osoby, uprawiające „footing”, są upośledzone, gdyż promenada dla pieszych jest dopiero w przygotowaniu i jeszcze nie do użytku tak, że wielbiciel Lac Bourget, nie posiadający auta, skazani są na podziwianie jego uroku „na stojąco” lub z tarasu kawiarni.

Ale bo też, jeżeli może tu być mowa o jakiejś „mniejszości”, to mniejszością — jak zwykle i wszędzie, trochę poszkodowaną — są tu osoby, nie posiadające własnego, a choćby wynajętego samochodu. Pełny człowiek w Aix — to dopiero... „człowiek



Luk rzymski w Aix-les-Bains.

*) Gabrielle Reval: „Les grandes amoureuses romantiques”.

*) Część, istotnie, znajdujących się tam term rzymskich jest już odkopana i roboty te ciągle prowadzone są dalej.

z autem“, co się daje zauważyć od pierwszej chwili przyjazdu do hotelu, gdyż na karcie meldunkowej pozycje, dotyczące się samochodu, zajmują akurat tyle miejsca, co pozycje, dotyczące samego gościa hotelowego. To też czasem doznaje się tu wrażenia, że się jest na wystawie samochodowej. Wszystkie marki światowe, wszystkie typy i rodzaje są reprezentowane. Prowadzą zawodowi szoferzy i gentlemeni, młodzi chłopcy i panienki, panie i panowie starzy, młodzi i... nowi.

Każdy większy hotel ma do użytku swych gości po kilka maszyn, które krążą po Aix we wszystkich kierunkach. Wprawdzie te wszystkie auta są dyskretne, zarówno w zanieczyszczaniu powietrza, jak w używaniu sygnałów, jednakże lepiej byłoby (oczywiście, nie dla ich właścicieli), gdyby ich było mniej. Ale czy, mając takie szosy, można gardzić autem? Nic dziwnego, że francuska szosa natchnęła Kadena-Bandrowskiego do poświęcenia jej całego rozdziału książki („Europa zbiera siano“). Kto przejechał taką szosą 100 klm. — przepadł: o innej lokomocji nie chce słyszeć.

Wyzyskują to na swój sposób liczne tu przedsiębiorstwa turystyczne, organizując cudowne bliższe i dalsze wycieczki autocarami, za względnie przystępną cenę. To też człowiek biega, jak opętany, od jednego biura do drugiego, studjując plany wycieczek i ich ceny, i czuje się trochę, jak ten osiołek, któremu w żłobie dano i owies, i siano. Istotnie, wybór jest trudny: i to neći, i tamto kusi. Jezioro Annecy, klasztor Chartreuse, Grenoble, Chamonix, Evian, okolice jeziora Bourget, jezioro Genewskie — oto zaledwie kilka wycieczek najpopularniejszych. Kto się nie liczy z wydatkami, może przez kilka tygodni codziennie oglądać coś nowego.

Wycieczki te są świetnie zorganizowane — autocary wygodne, szoferzy pierwszorzędni. Taka przejażdżka na wysokości 2.000 mtr. jest mniej niebezpieczna, niż jazda do Wilanowa. Ale i kultura i demokratyzacja mają swoje ciemne strony. Skonstatowałam to przy lodowcu Mer de Glaces (na Mont Blanc). Rozumiem teraz zazdrość taterników o ich umiłowane góry i niechęć dla projektu kolejki na Świnicę.

Chociaż towarzystwo w Aix jest międzynarodowe, jednak wszystkie narodowości giną w morzu anglo-amerykańskiem. Słysz się czasem rumuński, węgierski, rosyjski, niemiecki, włoski (polskiego — wcale), ale ciągle i wszędzie — angielski. I to nie tylko słysz się, ale i czyta. Jest to język całkowicie równouprawniony z francuskim, a czasem nawet — uprzywilejowany. Napisy w kąpielach, przy źródłach, w kawiarniach, restauracjach, sklepach — są w obu tych językach, również wszelkie ogłoszenia o zabawach, nabożeństwach, wycieczkach. Lekarze zdrojowi władają doskonale angielskim, tak samo szoferzy autobusowi.

Wszędzie przewidziane jest przede wszystkim dogodzenie gościom z za oceanu, a przynajmniej — z za kanału La Manche. Jak nieszczerze wobec tego brzmią narzekania francuzów, że amerykanie „psują“ im ich piękną ojczyznę! Widocznie dla ludzi z kontynentu dolary zachowują ciągle jeszcze moc i urok, którym trudno się oprzeć. Że choroba ta szybko się udziela, dowodzi choćby to, że wśród wielu rzeczy, które w marzeniu przenoszę z Francji do Polski, nieostatnie miejsce zajmują właśnie ci... bogaci amerykańscy turyści.

KULTURA ESTETYCZNA

darniej a dziś.

Sprawa bardzo prosta, a jednak wymagająca dość obszernego i wyczerpującego uzasadnienia. Wszak tam, gdzie istnieją równe uzdolnienia i jednakowe możliwości, wyniki powinny być mniej więcej równowartościowe. Tymczasem rzeczywistość wykazuje coś wręcz przeciwnego! Tajemnica tego dziwnego, bądź co bądź, faktu tkwi w sposobach pracy. Inaczej pracował mistrz, czy rzemieślnik czasów dawnych, a inaczej czyni to w dniach obecnych. Dawniej czas nie odgrywał takiej roli, jak dzisiaj; życie toczyło się w tempie bez porównania wolniejszym, czas zatem był tańszy. Skutkiem tego można było niepomniernie więcej czasu poświęcać na wykonanie tego, czemu dzisiaj zaledwie parę chwil zostaje oddanych.

Następnie praca dawna znała, poza najprostszymi narzędziami, jedną maszynę pomocniczą, którą była, udoskonalona ćwiczeniem, ręka. Ta ręka musiała się liczyć nieustannie z właściwościami materiału i mogła skutecznie tylko to, co temu materiałowi odpowiadało. Forma zatem nie mogła, dzięki ubóstwu środków pomocniczych i technicznych, wychodzić poza dostępne jej możliwości, nie mogła być narzucana. I to było prawdziwym dobrodziejstwem! Każdy, najdrobniejszy nawet, szczegół pracy nosił piętno zwycięsko pokonanego trudu, zarówno w dziedzinie teorii, jak i praktyki. Trzeba było wiele możliwości najpierw przewidzieć, by robota wypadła bez zarzutu. Wśród takich warunków nie było i nie mogło być miejsca na niedokładności techniczne, przeoczenia lub kłamstwa artystyczne. W każdym szczególe tkwiła prawda zarówno materiału, jak i dostosowanej doń formy. To decydowało o artystycznej wartości pracy i jej wytworów.

A dzisiaj? Dzisiaj ten wysiłek twórczy zmalął; zmalął, dzięki zdobyczom technicznym, a zwłaszcza, dzięki usłużności maszyn, które wdarły się we wszystkie dziedziny pracy ręki ludzkiej, zastępując ją w szybkości, a nawet przewyższając pod tym względem wielokrotnie. Tam, gdzie dawniej ręka pracowała tygodniami, dzisiaj usłużna maszyna, z błyskawiczną szybkością, stemplem wybija gotowe wzory i ornamenty. Nie trzeba wiele się namyślać: wystarczy mieć wzór gotowy, skopjowany z form dawnych, i za parę chwil rzecz będzie gotowa! Będzie tania, a wartością artystyczną odpowiadająca cenie.

Rozbrat pomiędzy twórcą a wykonawcą dokonany! Dawniej ta sama ręka projektowała, czyli obmyślała w szczegółach formę; dzisiaj artysta wziął

rozbrat z rzemieślnikiem-wykonawcą, niwecząc tym sposobem, tak pełną nadzwyczajnych rezultatów jednolitość pracy. Skutki nie pozwoliły na siebie zbyt długo czekać. Projektodawca zaczął ślepo naśladować wytwory dawnej sztuki, rozumując zresztą dość trafnie, że to, co dawniej wytwarzano, było piękne, a więc naśladowanie form dawnych musi doprowadzić również do piękna.

Tymczasem zaczął na to wszystko oddziaływać błąd pierwotny. Wykonawca, oderwany od projektodawcy i artysty, mógł być tylko rzemieślnikiem, ślepym i najczęściej bezmyślnym. Już nie potrzebował się wysilać w żadnym kierunku: wystarczyło mu ślepe naśladowanie, a skutków tego nie trzeba było zbyt długo oczekiwać! Wytwórczość wprawdzie potaniała, ale jednocześnie zatraciła swą odrębność i wynikający z niej artyzm. Zrodziła się i wkrótce powszechnie zapanowała „stylowa“ brzydota. Należy ją nazwać stylową, ponieważ fałszywe dedukcje teoretyczne doprowadziły do wniosku (również nieprawdziwego), że stylowość pracy polega na mniej lub więcej niewolniczym odtwarzaniu i powtarzaniu form stylów historycznych. Rozumowanie szło tym torem: wszystko, co było dawniej, było piękne, a więc powtórzenie form dawnych musi doprowadzić do piękna. Na tem podłożu wyrosło to bezgraniczne uznanie form epok minionych, przy zupełnym zaniedbaniu szukania form nowych, któreby dokumentowały w dziejach sztuki nowe potrzeby i nowe czasy.

Wszystkie te cechy sprawiły, że człowiek drugiego ćwierćwiecza XIX stulecia coraz bardziej w praktyce zaczął się oddalać od sztuki, teoretycznie coraz więcej czasu i umiłowania jej poświęcając. Skutki tego stanu rzeczy działają jeszcze do chwili obecnej. Żyjemy jeszcze w okresie form ślepo naśladowanych, bezmyślnie powtarzanych, kopjowanych, zarówno w architekturze, jak i w przedmiotach codziennego użytku. Reakcja na ten smutny stan rzeczy już się wprawdzie zaczęła i trwa już lat kilkanaście, ale nie zdołała jeszcze odrobić tego wszystkiego, co pierwsze dziesiątki lat wieku XIX nabroili. Dziś już wszyscy wiedzą, że jak najrychlej trzeba rzemieślnika połączyć z artystą, uzgadniając ich wysiłki i doświadczenie, a tem samem nawrócić do dawnej, tak błogosławionej w skutki, jedności w pracy.

W spełnieniu tego postulatu tkwi podwalina wszelkiej kultury estetycznej. Przez podniesienie, bowiem, wytwórczości rzemieślniczej przestanie dzisiejszego człowieka otaczać na każdym kroku ten istny zalew brzydoty, praca uszlachetniona zacznie przybierać nowe formy, odpowiadające nowym potrzebom, nowym materiałom i nowym warunkom życiowym, a tem samem człowiek współczesny pozostawi po sobie jakiś dokument swego istnienia, swego życia w dziedzinie, w której dotychczas był prawie niemową. Przez spełnienie tego warunku stanie się tylko równy swoim poprzednikom, wnosząc do pantheonu sztuki to, co i inne epoki wносиły: własny wyraz, odbity w małym i wielkim przedmiocie swego codziennego użytku.

To własne piętno, wyciskane przez każdą epokę na wszystkim, co ona wytwarza, nazywamy po prostu stylem. Otóż niezaprzeczenie stoimy już obecnie niedaleko od tego, że nowe formy, spotykane w architekturze, w budowie miast, w meblarstwie, w przemyśle, w sztuce wielkiej i t. zw. stosowanej — będziemy mogli uznać za styl. Ten styl, nam współczesny, od-

znacza się zupełnie swoistą linią, posiada własne zdobnictwo, oraz bardzo piękne zespoły barw, linii i brył. W ten sposób została nawiązana tradycja w twórczości, próżnia pomiędzy epokami już nie istnieje, współczesność zdobywa własną mowę form, a tem samem własne stanowisko w dziejach sztuki.

Na tej bazie powstaje kultura estetyczna danej epoki. Będzie ona jednak rośliną egzotyczną, dopóki nie dotrze do wszystkich warstw społecznych i nie stanie się udziałem zarówno zamożnych, jak i ubogich. Ta praca właśnie zaczyna się dokonywać w naszych oczach; warto przyjrzeć się jej właściwościom, zwłaszcza, że przez analizę zjawiska można będzie sobie uświadomić jego cechy dodatnie i ujemne. Nie wszystko bowiem, co się w tej mierze dokonywa, jest bezwzględnie dobre; są dość znaczne odchylenia, ale przecież praca nie zna jednolitej, nigdzie niezafałowanej się linii rozwojowej.

Te zafałowania odzwierciedlają najlepiej pracę ducha, dlatego warto i należy je śledzić.

Stanisław Machniewicz

Z KSIĄŻEK

Marja Kossak-Pawlikowska: „Profil białej damy“ — Warszawa, nakładem księgarni F. Hoessicka.

Różnemi drogami idą poeci do romantyzmu. Kapłanka „Różowej Magji“, czarodziejka najpiękniejszego z kaprysów — marzenia, doszła do niego przez dewaluację rzeczywistości. Życie nie spełnia swoich obietnic, życie daje same surogaty.

I odtąd zaczyna się poszukiwanie istotnych wartości, poza granicami tak zwanych realnych zjawisk. „Gdzie uczeni powiedzieli: koniec, gdzie szyderyczy woźnica w bikornie swym humorem życie chce uprościć — Tam zakwitasz fantazją bez nazwy, tam powiewasz suknią z ektoplazmy, niespodzianko wesolej wieczności!“ Ta apostrofa do „białej damy“ — to jakby mimowolna, przefiltrowana przez nowoczesny sceptycyzm, transkrypcja mickiewiczowskiej „Romantyczności“.

Miłość i śmierć — dwie tajemnice bytu, stopione w jedno — spojrzwały na poetkę oczami nieżyjącego komendanta łodzi podwodnej, Ondyny. W tych oczach odnalazła siebie. Jej wyobraźnia, „najechnana przez wieczność“, poszła na dno oceanów, urządzać seanse anielskie, wkręciła się namiętym śpiewem zmarłego w „Płyty Carusa“, pozazdrościła wiecznej miłości Serapionowi i Thais, mumjom dwojga kochanków w muzeum Guimeta. Czuje się wyrzucona niejako poza nawias życia: „całujmy się, mój księżycu... Obojeśmy obcy życiu, umarli dla świata — błagający o spokój, o zamknięte oczy w wiecznej sypialni“.

Tak mówi zmodernizowany Gustaw kobiecy, który nie chce więcej być igraszką miłości. „Za wielką jestem lalką, by się mną można bawić, o moi złoci!“ Tak, to naprawdę huntu lalki, która wyrosła z pstrych gałganków, którą odarto nie-miłosiernie ze złudzeń, której już „nie całują, nie trzęsą, nie targają za jedwabne pukle“. Prawdziwy ból rodzi człowieka. „Czyż za wiele cierpiałam, jak na porcelanie, i żyć zaczynam z rozpaczy?“

Jesteśmy świadkami pogrzebu lalki, ale nie pogrzebu marzenia. „Świecie! Chwile marzenia, których mi nie wydrzesz, mierzę piaskiem, sypanym z garści w dłoń otwartą. Klepsydra taka, żadnej nierówna klepsydrze, głosi, że czas jest długi i że marzyć warto“. A dalej: „Płynąłbyś, piasku życia, nieskończoną wstęgą, gdybym ja cię mierzyła, marząca klepsy-

dra". A zatem wiara w moc marzenia, w jego życiową pełnowartościowość.

Makabryczność „Profilu białej damy” jest tylko pozorem, maską, z poza której przegląda twórcza wola życia. Sto lat dzieli nas od romantyzmu. Zmienili się farysi, inne są heroiny romansów, ale miłość pozostała ta sama. Zamiast gitary, czy klawikordu, kochankowie nastawiają patefon i każą umarłym akompanjować sobie do pieśczęt miłosnych, ale podawnemu urządzają „nieudane” seanse spirytystyczne, na które „miłość przychodzi zamiast duchów”.

Kapryśnie wygięta parabola twórczości Pawlikowskiej z szybkością meteora przebiega ponad życiem współczesnego pięknoducha, błyskawicznie oświetlając niektóre tego życia momenty. Ta selekcja ma wszystkie pozory przypadkowości, a w istocie jest niesłychanie, po kobiecemu konsekwentna. O wyborze faktów decyduje nie obiektywna ich wartość, ale siła i napięcie uczuciowego do nich stosunku poetki.

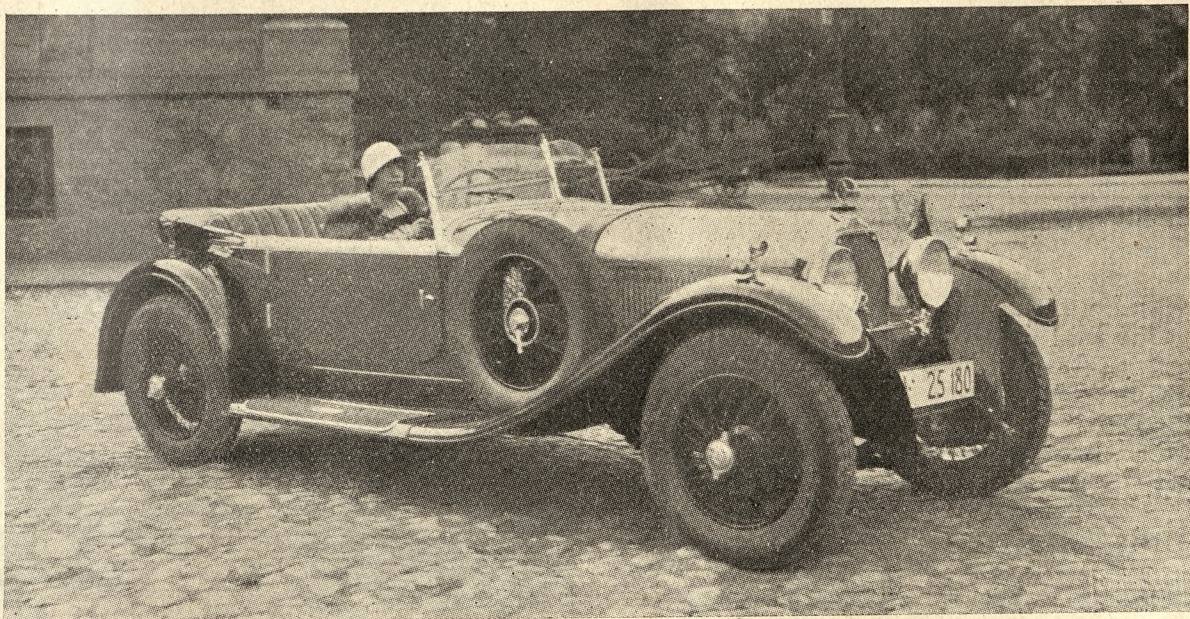
I tu zdumiewa poprostu mistrzostwo techniki, z jakim Pawlikowska wydobywa na światło i uplastycznia istotne dla niej strony zjawiska, inne pogrążając w cieniu. Tą drogą osiąga się ekspresjonistyczny skrót o spotęgowanej zapomocą kontrastowych efektów sile wyrazu. Celność artystycznego rzutu Pawlikowskiej ma w sobie coś ze sportowego wyczynu: przypomina niezawodność ramienia starożytnego dyskobola. Tylko zamiast klasycznej pozy — nerwowy, impulsywny, a jednak doskonale opanowany w sobie gest.

S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

NOWY TRIUMF AUTOMOBILISTKI POLSKIEJ.

Podczas zjazdu gwiazdzistego w Łodzi, odbył się wyścig płaski na dystansie 5 kilometrów w pobliżu Pabjanic. Zwyciężczyni zeszłorocznego raidu kobiecego, p. Marja Koźmianowa, na sportowym Austro-Daimlerze osiągnęła średnią szybkość 114.655 klm. na godzinę. Jest to szybkość, nienotowana dotychczas przez automobilistki polskie. Podczas zjazdu gwiazdzistego w Krakowie i płaskiego biegu w Ojcowie p. Koźmianowa, jedyna kobieta w tym biegu, poprawiła jeszcze swój poprzedni rekord.



P. Marja Koźmianowa na swoim starzym Austro-Daimlerze.

W OBRONIE EMIGRANTEK

W Paryżu odbywają się obecnie obrady komisji polsko-francuskiej, mającej ustalić kontyngent robotników polskich, wyjeżdżających do Francji. Ponieważ warunki pracy kobiet-emigrantek, zwłaszcza młodych dziewcząt samotnych, we Francji są bardzo dla tych kobiet niekorzystne, liczne stowarzyszenia kobiece polskie złożyły rządowi memorjał, prosząc o zupełne wstrzymanie emigracji kobiet samotnych, do czasu zorganizowania racjonalnej opieki nad wychodźczyniami.

Stowarzyszenia żądają przede wszystkim ustanowienia objazdowych inspektorek polskich; dalej, położenia przez rząd polski nacisku na reformę patronatów, tworzonych przy francuskim ministerstwie rolnictwa, w celach dozoru nad emigrantkami. Kierowniczkami patronatów w miejscowościach, skupiających emigrantki z Polski, powinny być osoby, władające językiem polskim i wykształcone fachowo; patronaty, wyposażone w dostateczne środki finansowe, winny skoordynować pracę z funkcjonującymi we Francji polskimi stowarzyszeniami opieki nad emigrantkami.

Wyżej wymienioną petycję podpisały: Klub Pol. Kobiet Postępowych, Liga Kobiet, Rodzina Policyjna, Rodzina Wojskowa, Tow. Ochrony Kobiet, Zrzeszenie Lekarek, Związek Kobiet prac. w handlu, przemyśle i biurowości, Związek Legjonistek i Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet.

ROLA KOBIET W POŻARNICTWIE

Do licznych zawodów kobiecych i różnorodnych gałęzi prac społecznych, spełnianych przez kobiety, przybywa obecnie pożarnictwo. Można śmiało powiedzieć, że obznajmienie z elementarnymi zasadami gaszenia ognia jest umiejętnością, którą powinna posiadać każda kobieta. Ilekroć nieszczęśliwych wypadków wynikało z tego, że kobiety, które, pracując w gospodarstwie domowym, mają liczne sposobności do zaproszenia ognia, lub wywołania nagłego pożaru, stają wobec wypadku przerażone i bezradne, potęgując często swem zachowaniem się katastrofę.

Jak niewiele kobiet wie o najprostszej zasadzie, że np. przy zapaleniu się spirytusu trzeba momentalnie zalać palącą się maszynkę, lub butelkę wodą, gdyż rozcieńczony nią spirytus gaśnie; a przeciwnie, nie wolno wodą zalewać nafty, gdyż



Kobiety gaszą pożar.

będzie się palić, pływając po wierzchu; że przy zapaleniu ubrania, lub włosów, trzeba owinać palącą się osobę kołdrą, lub kocem i tak tłumić płomień; względnie, jeśli samemu ulegnie się takiemu wypadkowi, rzucić się choćby na podłogę, łóżko, a, broń Boże, nie biegać, gdyż tem podsyca się ogień i tworzy tak zwaną „żywą pochodnię“. Tak samo, zwłaszcza na wsi, w wypadku zapalenia się stogu, lub jakiegoś budynku, pierwsze ratownictwo, użycie posiadanego sprzętu pożarniczego, powinno być kobietom znane teoretycznie i praktycznie.

U nas pierwszy krok w tej sprawie uczyniono w województwie kieleckim. Przy każdym oddziale ochotniczej straży powstaje tam oddział kobiecy, który przechodzi kurs teoretyczny i praktyczny pożarnictwa, a także pomocy sanitarnej, obrony przeciwgazowej i wychowania fizycznego. Oddziałów tych jest już 60 w województwie kieleckim, istnieją one także w innych stronach kraju.

Zagranicą wykształcenie pożarnicze kobiet stoi dotychczas najwyżej w Japonii, gdzie w każdej szkole istnieje kurs pożarniczy, jako przedmiot obowiązkowy, z którego uczennice zdają egzamin praktyczny. Rycina nasza przedstawia takie „manewrowe“ gaszenie pożaru przez wychowanki jednej ze szkół żeńskich w Tokjo.

WAKACYJNE SZKOŁY KOBIECE W ANGLJI

Rozpowszechniony w Anglii obyczaj week-endu został przez kobiety wykorzystany w celach naukowych. Zorganizowano, mianowicie, cały szereg szkół sobotnich w miejscowościach bliższych miast. Szkoły te są najrozmaitszego typu. Wiele stowarzyszeń kobiecych urządza wykłady ekonomii, polityki, nauk społecznych; inne znów literatury, języka angielskiego i historii. Niekiedy rano poświęcony jest wykładom, popołudnie zaś wycieczkom w okolice. „Szkoły sobotnie“ cieszą się wielkim powodzeniem.

Obecnie Newnham College zorganizowało inną, również b. ciekawą próbę: 14-to dniowy kurs wakacyjny dla kobiet pracujących. Wykłady podzielono na kursy: literatury, nauk społecznych i „wiadomości o świecie, w którym żyjemy“, obejmujące najelementarniejsze dane z przyrody, geografii i etnografii. Na kursy te może zapisać się każda kobieta, pragnąca zużytkować czas wakacyjny na zdobycie pewnego zakresu wiedzy. Słuchaczki podzielone są na grupy, podług stopnia ogólnego przygotowania i inteligencji. Każda grupa ma specjalnych wy-

kładowców. Jedna ze słuchaczek, robotnica, w wzruszający sposób opisuje te wykłady: „Niech żadna pracownica nie obawia się zapisać na nie, niech nie onieśmiela ją, że to jest uniwersytet. Profesorowie mówią tak przystępnie, że każdy inteligentny człowiek może doskonale z ich wykładów korzystać, a są przytem tak dobrzy, iż zawsze dają nam do zrozumienia, że umiemy dużo więcej, niż potrafimy wypowiedzieć“.

Poza wykładami, słuchaczki wakacyjne mieszkają razem ze zwykłymi studentkami, poznając codzienne życie w kolegium i stosując się do jego regulaminu. Jest to bardzo dobry i prosty sposób zbliżenia i prawdziwej demokratyzacji. Za kilka lub kilkanaście lat nie zdarzy się już fakt, jaki w roku zeszłym przytaczała jedna z posłanek, gdy na zebraniu przedwyborczem przystąpiła do niej młoda robotnica, mówiąc: tak, pani jest mądra, wykształcona, zostanie pani posłanką. I ja mam taką samą głowę, ale nie mogłam dostać się na uniwersytet, nie miałam środków na naukę.

SOKOLICE W ZŁOCIE WSZECHSŁOWIAŃSKIM

W Belgradzie odbywa się obecnie wszechsłowiański zlot Sokolów i Sokolic. Rycina nasza przedstawia Sokolice czesko-słowackie, witające na boisku koleżanki jugosłowiańskie.



Powitanie.

NAZWISKO KOBIETY W ŚWIELE PRZEPISÓW PRAWNYCH

Każdy człowiek nosi jakieś nazwisko. Jest ono tem znamieniem zewnętrznem, tem oznaczeniem, które pozwala określić poszczególną jednostkę i odróżnić ją od innych ludzi. Nazwisko nabywa się przez urodzenie — jako dziecko prawe danyh rodziców, bądź przez uznanie, gdy dziecko pochodzi ze związku nieślubnego ojca i matki, a zostaje uznane przez oboje, lub jedno z rodziców.

Nazwisko bywa nadane po porozumieniu z władzą policyjną przez zarząd szpitala lub dobroczynnego zakładu — podrzutkom, dzieciom niewiadomego pochodzenia. Nazwisko otrzymuje się również przez adopcję, czyli przysposobienie; kobieta zaś wstępując w związku małżeńskie, przyjmuje nazwisko męża.

Kobieta z konieczności rzeczy częściej bywa narażona na zmianę nazwiska, niż mężczyzna; w pewnych wypadkach dzieje się to nawet bez udziału jej woli, np., gdy mąż jej wnosi podanie do władz o pozwolenie mu na zmianę nazwiska, która to zmiana, jak się za chwilę dowiemy, dotyczy również i jego małżonki. Dobrze jest więc poznać obowiązujące przepisy prawne w tej dziedzinie.

Żona nosi nazwisko męża. Z chwilą wstąpienia w związek małżeński, nazwisko męża staje się nazwiskiem żony i od tej chwili kobieta traci prawo używania swego nazwiska rodzinnego. Czasami się zdarza, że kobieta zamężna zachowuje jednak swoje nazwisko panięskie, które używa łącznie z nazwiskiem męża. Bywa tak zwłaszcza w sferach artystycznych, literackich i naukowych, gdy z nazwiskiem panięskim żony jest już związane pewne uznanie i rozgłos. Niema to jednak znaczenia prawnego, aczkolwiek to nazwisko może być chronione na mocy innych przepisów prawnych.

W praktyce istnieje, co prawda, obowiązek podawania nazwiska panięskiego kobiety zamężnej, przy różnego rodzaju aktach urzędowych, ma to jednak na celu jedynie pewniejsze ustalenie jej tożsamości.

Kobieta, stosownie do przepisów prawnych, obowiązujących w Polsce, zachowuje nazwisko męża i w wypadku wdowieństwa, a również w razie rozvodu i separacji. Może jednak na własne żądanie, a za zgodą sądu, powrócić w tych wypadkach do swego nazwiska panięskiego. Również w razie rozvodu, czy bezterminowej separacji, nazwisko męża może jej być wyrokami sądu odebrane, jeśli kobieta złem prowadzeniem na to zasłużyła.

Ciekawy stan rzeczy, w kwestji nazwiska mężatki, obowiązuje we Francji. Brak tam wyraźnego przepisu ustawy, któryby nadawał żonie nazwisko męża. Toteż we wszystkich aktach urzędowych kobieta figuruje pod swem nazwiskiem panięskim, jedynie z wymienieniem, że jest żoną danego mężczyzny. Natomiast w życiu codziennem zwyczaj nakazuje żonie używać nazwiska męża, pod którym też występuje w stosunkach towarzyskich i społecznych.

Kobieta może nadać swoje nazwisko rodzinne, a to przez przysposobienie czyli adopcję, oraz uznanie dziecka nieślubnego. Zaznaczyć trzeba w tym

ostatnim wypadku, że jeśli dziecko nieślubne uzna również ojciec, otrzyma ono, mimo uznania ze strony matki, nazwisko ojca; chyba że sąd, uwzględniając specjalne okoliczności, uzna bardziej korzystnem dla dziecka posiadanie nazwiska matki.

Nazwisko stanowi dobro osobiste szczególnego rodzaju. Dzięki niemu, ludzie mogą być oznaczani, określani i indywidualizowani. Człowiek całym swem życiem, swą pracą, postępowaniem i zachowaniem się, swemi wadami i przymiotami — wytwarza wśród swego otoczenia pewną opinię, przywiązaną do jego nazwiska. Słuszną jest więc rzeczą zapewnić nazwisku odpowiednią ochronę prawną, a to w tym celu, aby nikt nie mógł podszywać się pod cudze miano, i aby każdy miał prawo do określania jego osoby właściwem mu nazwiskiem.

W tym sensie podlega więc ochronie nazwisko właściwe, czyli t. zw. cywilne, pseudonim, czyli nazwisko, obrane dowolnie dla tych czy innych celów, szczególnie często spotykane w sferach artystycznych, literackich i t. p., oraz nazwisko handlowe, czyli firma.

Kobiecie, podobnie jak mężczyźnie, służy prawo skargi do sądu, naprzykład, gdy ktoś używa nieprawie jej nazwiska, lub podpisuje pracę swą jej pseudonimem, albo otwiera przedsiębiorstwo pod jej firmą handlową. Można wówczas żądać od sądu, aby zakazał winnemu czynienia tego na przyszłość, a również, aby skazał go na odszkodowanie pieniężne.

Również, gdy np. wydawca ogłosi dzieło jakiejś autorki, nie podpisane jej właściwem nazwiskiem lub pseudonimem, poszkodowana może sądownie zażądać, by jej nazwisko znalazło się na właściwym miejscu.

Słów parę trzeba poświęcić sprawie zmiany nazwiska. W Polsce sprawa ta jest uregulowana specjalną ustawą (Dz. U. R. P. z 24 października 1919 r. poz. 88). Gdy ktoś pragnie zmienić swoje nazwisko na inne, dowolnie obrane, wówczas winien się zwrócić z odpowiedniem podaniem do władz, które prośbę petenta rozstrzygną zgodnie z postanowieniem prawa.

Władzą decydującą będzie tu Minister Spraw Wewnętrznych, który w wypadkach, zasługujących na uwzględnienie, może zezwolić na zmianę nazwiska. Sprawa ta jest więc pozostawiona swobodnemu uznaniu władzy, winna być jednak załatwiona w myśl prośby w wypadku śmieszności nazwiska.

Prosić o to może każdy pełnoletni obywatel państwa polskiego; wraz z prośbą winien podać powody, które kierują nim przy zamierzonej zmianie, oraz wymienić nazwisko, jakie pragnie przybrać.

W razie przychyłnej decyzji władzy, dalsza procedura polega na ogłoszeniu w „Monitorze”, oraz w trzech innych dziennikach zamierzonej zmiany nazwiska.

Ma to dać możność wszystkim zainteresowanym — a w pierwszym rzędzie, noszącym to samo nazwisko, jakie pragnie przybrać ogłaszający — do zgłoszenia na ręce władz swojego sprzeciwu.

Proszący uzyskuje nowe nazwisko dla siebie, dla swej małżonki i dzieci niepełnoletnich dopiero po upływie roku od chwili ogłoszenia.

K.



KWIATY CIĘTE I NASZE DOKOŁA NICH ZABIEGI

Jesteśmy w pełni lata! Wyjątkowo w tym roku miłościwe, darzy nas powodnią kwiatów, które od wczesnej wiosny zakwitają nietylko w przyśpieszonym tempie, ale w niebywalej wprost obfitości i niecodziennej krasie.

Silę tego wspaniałego rozwoju czerpią z życiodajnych promieni słonecznych, a nawet zamknięte w mrocznych ścianach skromnej siedziby ludzkiej, mają czarodziejską moc wnoszenia ze sobą przebłysków jasności, która im była kolebką.

Wśród wszystkich cudów przyrody — kwiat jest najdoskonalszym wyrazem piękna i najsilniej skoncentrowanym źródłem rozkoszy wzrokowej.

Współczesna estetyka wnętrza — zarówno najskromniejszego, jak i najwytworniejszego — która zaczyna wreszcie i u nas nabierać smaku chleba powszedniego, posługuje się dzisiaj kwiatem świeżym, ciętym i doniczkowym, jako podstawowym motywem dekoracyjnym.

Ciążenie ku wykorzystaniu kwiatów wzrasta tem silniej, że z powierzchni nowoczesnego mieszkania zniknęło dawne przeładowanie drobiazgami, zszeregowanymi na biurkach, półeczkach, stołach i bezużytecznych stolikach. Dzisiaj staramy się otaczać jedynie przedmiotami potrzebnymi, grupując je tak, aby pozwoliły nam poruszać się swobodnie, nie utrudniały utrzymania w mieszkaniu wzorowej czystości, nie pochłaniały nadmiaru przestrzeni, a pomimo to spełniły



Cudne uśmiechy przyrody — kwiaty, są najmymowniejzszymi rzecznikami uczuć jeszcze niewypowiedzianych.



Blado-różowe, wonne li-lje cieszą oko swym egzotycznym rodziękiem. Groszki pachnące, to kwiaty malowane najsubtelniejszymi pastelami natury.



w wystarczającym stopniu swe estetyczne i użytkowe posłannictwo.

W ramach pokoju, doskonale oświetlonego, nie przeciążonego zwisającymi dokoła okien i drzwi zwojami tkanin — barwna plama kwiatów ciętych, soczysta zieleń ozdobnych roślin doniczkowych, staje się nieomal niezbędnym dopełnieniem.

Aczkolwiek różnorodność kwiatów żywych jest w dziedzinie estetyki krainą tysięcy



Gałęzie różnobarwnych orlików układamy lekko w szerokich wazonach.

możliwości, uprawniających do najśmielszych zestawień, to jednak umiejętne dostosowanie kwiatów do tła i ułożenie w dobranym do ich typu wazonie jest dopiero w stanie uwypuklić całą ich krasę.

Najpiękniejszym typem bukietu jest bukiet, ułożony z jednego rodzaju kwiatów; mogą one być: jednobarwne, różnobarwne, lub stonowane, ożywione zielenią liści własnych, delikatnych paproci, traw polnych, ogrodowych, lub też pozbawione wszelkich dodatków, bajecznie kolorową plamą odcinające się, lub harmonizujące z wazonem.

Estetyczne i artystyczne zespolenie kwiatów z wazonami i rodzajem wnętrza omówi niebawem w swym artykule pani Wolska, dając rysunki artystycznych wazonów; zajmiemy się więc jedynie kwiatem, jako takim; warunkami, w których może wydać ze siebie maximum uroku i czarować nas jak najdłużej swą barwą, kształtem i wonią.

Musimy tutaj wziąć pod uwagę trzy rodzaje kwiatów: kwiaty, własnoręcznie zerwane, kwiaty kupione, i kwiaty, którymi nas obdarzono — omawiając szczegółowo konieczne dokoła nich zabiegi.

Na pierwszym miejscu postawimy kwiat, własnoręcznie „zerwany“. Jest on bowiem wśród tych, którymi ozdabiamy nasze wnętrza, najmilszy, bo wybrany stosownie do własnych upodobań i estetycznych wymagań, a pozatem jest najwierniejszym naszym przyjacielem, czerpie bowiem moc długiego trwania z nieporównanej swej świeżości.

Niestłuszenie utarło się wyrażenie „zrywać kwiaty“. Każdy, kto je kocha, wie, że zrywanie kwiatów nie tylko osłabia roślinę, ale i ujemnie wpływa na samą trwałość kwiatów. Kwiat należy ścinać i to nie nożyczkami, a ostrym nożykiem — ścinać tak, aby cięcie wypadło ukosnie. Ucisk, jaki wywołuje cięcie nożyczkami, szczególniej tępem, zniszczonymi, jakie zwykle w nieświadomości swej przeznaczamy do funkcji ogrodowych, wpływa ujemnie na łodygę, natomiast szybkie, zręczne ścięcie łodygi ostrym nożem nie narusza tkanek i nie osłabia w łodydze sprawności wchłaniania wody.

Po kwiaty do ogrodu wybieramy się tylko bar-

dzo wczesnym rankiem, jeszcze o chłodzie, lub też po zachodzie słońca. Ścinane w upał, więdną szybko, i nawet najstaranniejsze zabiegi nie będą w stanie utrzymać ich przy życiu. Nie chcąc męczyć łodyg kwiatnych uciskiem i ciepłem ręki, w której nosimy kwiaty podczas ścinania wiązank, najlepiej jest układać je w koszyku z pałąkiem; przewieszony przez ramię, nie tamuje swobody ruchów. Kwiaty układamy w koszyku tak, aby ich kwiatne główki wychylały się poza obręb koszyka i nie cierpiały od ucisku. Gdy skończymy zbiór, nie należy układać kwiatów bezpośrednio w wazon, a włożyć je w jakieś głębokie i szerokie naczynie, wypełnione wodą o niskiej temperaturze i pozostawić tak godzinę w chłodzie. Dopiero wówczas, gdy odpoczną i odświeżą się dzięki tej zimnej kąpieli, przystępujemy do układania bukietów. Samo układanie bukietów nie jest sprawą tak prostą, jakby się napozór zdawało. Nie wystarczy bowiem wyjęcie kwiatów z kubelka, dzbanka, lub innego naczynia, w którym wypoczywały po bolesnej operacji ścinania, i zręczne ułożenie ich w wazonie, a czynności, jakie muszą poprzedzać zrobienie bukietu, są następujące:

Oczyścić łodygę kwiatu ze wszystkich bocznych liści i drobnych listków aż do miejsca, które wychylać się będzie z wazonu; pozostawienie liści na długości całej łodygi wzmacnia łaknienie wody, a przez to samo wpływa na szybsze więdnienie kielichów kwiatnych, do których woda, spożytkowana przez obfitość liści, nie dochodzi w wystarczającej ilości; pozatem liście, zanurzone w wodzie, wypełniają niepotrzebnie



Zwiastuny wiosny — zonkile najpiękniej wyglądają w ciemnych, połyskliwych wazonach.

wolną przestrzeń wewnątrz wazonu, wywołują duszną atmosferę i przyspieszają proces gnicia. Przyciąć łodygę ostrym nożykiem na odpowiedniej wysokości; o ile jest twarda i pokryta wyraźnym włóknem, oczyścić ją z tego włókna conajmniej na przestrzeni 10 cm., co ułatwi wchłanianie wody i umożliwi kwiatom zachowanie długotrwałej świeżości. Sposób ten stosujemy do wszystkich kwiatów o wyżej wymienionym typie łodygi — jest on niezawodny i, jako taki, zasługuje na specjalną uwagę.

Zanim ułożymy kwiaty w wazonie, musimy doprowadzić go do stanu zupełnej czystości. Wazony przezroczyste, szklane, kryształowe dopominają się same swemi zmatowiałemi i pokrytemi osadem zielonkawym ściankami o staranne umycie; gorzej jest z majolikowemi, porcelanowemi, glinianemi, lub terakotowemi, które tak dyskretnie kryją tajemnicę swych zanieczyszczonych wnętrz. Mycia wazonów musimy się już podjąć same, wiemy bowiem wszystkie z praktyki, że powierzenie tej czynności rękóm służby kończy się zazwyczaj na jednorazowym wypłókaniu i obtarciu zewnętrznej strony, a tymczasem ten właśnie osad, który pokrywa dno i ściany wewnątrz wazonów, nosi w sobie zarodek trucizny, zabijającej w krótkim czasie krasę i świeżość kwiatów.

Wazon, doprowadzony do stanu wzorowej czystości, płócemy kilkakrotnie i wypełniamy po brzegi zimną wodą. Kwiaty układamy luźno, tak, aby powietrze miało dostęp do uwiecznionych w wazonie łodyg. Najlepiej konserwują się kwiaty wówczas, jeżeli łodygi nie opierają się o dno wazonu.

Jeżeli zachowamy wszystkie powyżej omówione przepisy, kwiaty nasze mają stworzone warunki idealnego bytowania, o ile „idealnym bytowaniem“ można nazwać przerwanie życia kwiatu, którego przeznaczeniem jest wytworzenie nasienia i odradzanie się z niego w nieskończoność. Te smutne reminiscencje nie wchodzą jednak w krąg debatów nad egoistycznym wprzężeniem uroku kwiatów do rydwanu uciech króla stworzenia — człowieka — i przeczą zasadniczo wszystkiemu, co w naszej praktycznej pogadance omówić zamierzamy; przeto należy zejść z niebezpiecznych manowców i wgłębiać się nadal w sztukę osłodzenia i przedłużenia ostatnich chwil naszym smutnym skazańcom.

A teraz, gdy bukiety już są gotowe, umieszczamy je tak, aby jak najumiejtniej wykorzystać ich posłannictwo dekoracyjne i zapewnić im przytem jak najpomyślniejsze warunki bytowania. Unikamy zatem ustawiania wazonów w miejscach, poddanych operacji słonecznej, zapewniamy im korzystanie ze świeżego powietrza i staramy się unikać przystrajania pokoi sypialnych kwiatami o silnej, upojnej woni. Położenie pod wazon serwetki, lub ustawienie na ładnej, dostosowanej do niego podstawie, uważamy też za zabieg niezbędny, chroniący meble przed zniszczeniem.

Mozolny, a jednak tak miły trud pielęgnowania kwiatów ciętych nie kończy się jeszcze z chwilą przystrojenia pokoi bukietami, albowiem zaledwie umieszczone na miejscu przeznaczenia, dopominają się znów o pamięć i staranie. Dowodem tej pamięci będzie conajmniej trzykrotnie w ciągu dnia zmienianie wody w wazonach. Przystępując do tej czynności, wynosimy wszystkie bukiety do kuchni, lub łazienki, puszczamy wodę z kranu tak długo, aż ożywczy jej strumień nabierze niskiej temperatury; wówczas wy-

mujemy bukiet z wazonu i poddajemy łodygi kąpielii odświeżającej i oczyszczającej je z zarodków zgnilizny; gdy są już zupełnie czyste i zatraciły wszelki ślad niemilej woni, wkładamy kwiaty do wazonu kilkakrotnie wypłókanego i napełnionego zimną wodą. Zabiegi te powtarzamy rano, po południu i wieczorem, przyczem w trakcie wieczornej kąpeli i zmiany wody przycinamy nożykiem łodygi, nadając w ten sposób spragnionym ich wargom — tym karmicielkom kwiatów — pierwotną świeżość, sprawność i zdrowie.

Wanda Dobrzańska

CENY A CENY

Przed paru dniami oglądałam w salach Redutowych wystawę szkół zawodowych warszawskiego Magistratu. Czasu, niestety, miałam dnia tego niedużo i tylko przebiegłam niektóre sale, świadczące o wysokim poziomie nauki różnych rzemiosł w tych szkołach; szukałam kącika, urządzonego przez panią Chołniewską z Ministerstwa Oświaty — kącika, o którym głośno cuda.

Zasłużona ta pionierka nauki gospodarstwa wśród szerokich mas przedstawiła tam całokształt trzystozłotowego budżetu rodzinnego — tak, nie omyliłam się: nietylko ułożyła, lecz i przedstawiła. Właściwie, budżet ułożony był na tablicach, a na czterech, czysto nakrytych stołach przedstawiono cztery dniene posiłki takiej rodziny. Coprawda, na wyżywienie rodziny przeznaczono aż 55 procent całego budżetu, co się absolutnie nie da wykonać, gdyż inne pozycje są tak znikomo małe, że najskromniejszych bodaj potrzeb zaspokoić nie są w stanie.

Nie pamiętam cyfr poszczególnych, lecz jedna wraziła mi się w pamięć. Czterdzieści pięć złotych na mieszkanie. Oczywiście, są tacy szczęśliwcy, którym ochrona lokatorów nawet parupokojowe, przedwojenne mieszkanie w tej cenie zachowała. Lecz jakże mała jest ich liczba! a ludzie, którzy nowe zakładają rodziny, w tej cenie mogą mieć chyba jedną izdebkę w Grochowie lub Anopolu.

I te czterdzieści pięć złotych — to jeszcze jedna z wielkich pozycji budżetowych. Ubranie, kształcenie dzieci, rozrywki, oszczędności — gdyż wszystko jest przewidziane w preliminarzu — wyrażają się cyframi pojedynczemi i mogą służyć jedynie za temat do smutnych rozmyślań.

Natomiast wprost wspaniała jest dział odżywiania tej rodziny. Zanotowałam sobie całodzienny jadłospis i obejrzałam starannie dania, bardzo apetycznie wyglądające i przyrządzone w ilości, mogącej zupełnie zaspokoić apetyt przeciętnych inteligentów (boję się, że dla pracowników fizycznych porcje te byłyby nieco za małe).

Pozwolę sobie przedstawić tu cały jadłospis.

1-sze śniadanie: kawa zbożowa, pół litra mleka, pięćdziesiąt gramów cukru, chleb, masło, marmelada owocowa. Drugie śniadanie: herbata, chleb czarny, odrobina masła, ser biały, rzodkiewka.

Obiad: kartoflanka na jarzynowym smaku, kotlety wołowe siekane, kaszka krakowska sypka z koperkiem, sałata ze śmietaną, kompot z rabarbarum. Kolacja: kluseczki krajane, szpinak, herbata.

I wszystko to, razem wzięte, daje właśnie tyle

kaloryj, ile trzeba dla odpowiedniego odżywiania dorosłego mężczyzny, dorosłej kobiety i dwojga dzieci w wieku szkolnym, a kosztuje raptem około pięciu i pół złotego na dobę — ilości groszy dokładnie nie pamiętam; natomiast przypomniałam sobie, że na pierwsze śniadanie dzieci jeszcze dostają po talerzu kaszy manny.

Możnaby, szukając dziury w całym, zapytać autorkę tych przysmaków, gdzie w Warszawie można kupić wołowinę bez kości w cenie trzech złotych za kilo i czemu, przy obecnej drożyznie, do sałaty ze śmietaną dodaje cytryny, kiedy sałata z jedną lub drugą przyprawą byłaby dosyć dobra? — ale to są detale. Całość przedstawia się imponująco i dla dobra ludzi niezamożnych należy błagać panią Chołoniewską o ułożenie chociażby dziesiątka takich jadłospisów na każdą porę roku.

Wychodząc z wystawy, przypomniałam sobie, że leży na mojem biurku list jednej z czytelniczek „Bluszczu“, pełen objeekcyj co do mego artykułu p. t. „300 złotych miesięcznie“, umieszczonego w 22-gim N-rze tego pisma. Napisałam go na prośbę jednej z abonentek „Kursów Korespondencyjnych“, zamieszkałej w niedużem mieście na Pomorzu i zgóry się zastrzegłam, że wszystkich zadowolnić nie jestem w stanie. Ceny, znane mi (naprzykład bułeczki po 5 groszy w całym Poznańskim i na Pomorzu), brałam fameczne, inne wstawiłam nasze warszawskie. Otóż na pytanie czytelniczki, gdzie znaleźć w Warszawie takie ceny, mogę odpowiedzieć: — wszędzie. Wskazywanie poszczególnych firm, w których kupuję, byłoby śmieszną ich reklamą, czego w żadnem piśmie robić mi nie wolno.

Z poszczególnych kwestjonowanych pozycyj mięso wołowe i cielęcina z kośćmi, według cennika zatwierdzonego przez Magistrat, kosztuje 2 zł. 80 gr. za kilo i nigdzie go drożej sprzedawać nie wolno. Cena mleka niezbiieranego wynosi 40 gr.; biorąc za normę 50 gr., myślałam właśnie o lepszem mleku, kupowanym ze sklepu, mającego dostawę z jakiegoś majątku. Ceny mleka w plombowanych butelkach nie mogą służyć za normę, mamy takiego butelkowanego mleka niedużo i starczy go ledwie dla ludzi, niepotrzebujących rachować się z wydatkami.

Co do szparagów, to w połowie maja kupowałam w halach na placu Mirowskim nietylko po 1 zł. 80 gr., lecz nawet po 1 zł. 50 gr. dobre szparagi, świeżo wycięte, i smakowały nam wybornie. Zresztą te szparagi na kolację nie są daniem, którego nie możnaby zastąpić tańszą kalarepką, lub młodą marchewką, a obecnie, przy olbrzymim urodzaju kalafjorów, można aż pięć ładnych główek tej wybornej jarzyny nabyć za 1 złoty.

Oczywiście, chcąc nabyć tanio jarzyny i owoce, nie chodzi się po nie do sklepów gastronomicznych, sprowadzających luksusowe artykuły, lecz do hal, szczególnie do hal na placu Mirowskim, jako do najlepiej w towar zaopatrzonych; lub w dniu targowe kupuje się je w rannych godzinach wprost z wozów, przyjeżdżających ze wsi.

Zarzut, że podałam tylko trzy posiłki, jest o tyle słuszny, że ludzie, wstający wcześniej, nie mogą się wstrzymać od jedzenia drugiego śniadania. Pracująca inteligencja, o której wszak tu wciąż mówimy, nie ma czasu na zasiadanie do takiego śniadania. Rodzice w biurze, dzieci w szkołach dostają w południe herbatę, do której mogą zabrać połowę pieczywa od

pierwszego śniadania. Przecież podaję pół kilowy chleb i cztery bułeczki, tego zjeść od razu niema potrzeby; a dla służby oddzielnie jest przewidziane całe kilo chleba.

Pozostaje dodatkowe dożywianie dziecka. Dziecko siedmiomiesięczne, według dzisiejszych metod karmienia, może korzystać z wielu produktów, używanych dla dorosłych. Naprzykład kaszkę można mu ugotować na rosolu, przygotowanym jako smak do zupy. Może zjeść trochę szpinaku, lub utartą marchewkę z rosolu; można trochę takiej marchewki lub szpinaku utrzeć i dać mu wypić łyżeczkę wyciśniętego z nich soku. Może zjeść trochę budyniu z „Luby“, lub sosu do budyniu. Proszek „Luba“ jest to idealnie drobna mączka kukurydzowa, bardzo pożywna i strawna, w diecie dziecięcej nawet zalecana. Niezależnie od tego — pół litra mleka, całe jajko, kaszka dwa razy (za dziesięć groszy manny, owsianki, kaszki krakowskiej, kaszki perłowej — nawet na więcej starczy) i jabłko tarte są zupełnie dostateczne do najbardziej prawidłowego żywienia dziecka właśnie według metod, wskazywanych w „Dziecku i Matce“. Wszak podane w artykule jadłospisy są tylko przykładowe. Jabłko można zastąpić sokiem z pół niedużej pomarańczy, latem poziomkami, truskawkami, jesienią śliwkami, a zawsze sokiem z marchwi, szpinaku, a nawet jarmużu.

Sądzę, że moją tezę dostatecznie obroniłam, chociaż zawsze znajdują się malkontentki. Ha! trudno! Niech zrobią lepiej.

Pani Elżbieta

PRZEPISY GOSPODARSKIE

WĘGORZ Z GROSZKIEM ZIELONYM

Sześćdziesiąt deka węgorza (najlepiej środkowy kawałek ryby) pokrajać na dziesięć równych dzwonek. Zagotować półtorej szklanki wody (trzy decylitry) z cebulą, pieprzem, zielem, listkiem. Rybę nasolić na godzinę przed gotowaniem. Włożyć do wrzącego smaku, przykryć pokrywą, gotować wolno, aż zmięknie i zacznie odstawać od ości. Węgorz powinien być dobrze dogotowany — surowy jest bardzo niestrawny. W oddzielnym rondelku ugotować sześćdziesiąt deka młodego, łuskanego groszku. Gdy już nawpół miękki, dodać twardą główkę sałaty, pokrajaną na ćwiartki. Węgorza i groszek z sałatą ułożyć na głębokim półmisku, przykryć miską, aby nie ostygł. Wodę z groszku i rosół z ryby prędko wysadzić na silnym ogniu. Gdy pozostanie nie więcej, niż dwie szklanki, zaprawić łyżeczką mąki, zagotować. Nakoniec zaciągnąć dwoma żółtkami i dwiema łyżkami słodkiej śmietanki. Włożyć łyżeczkę śmietankowego masła, wymieszać i, nie gotując więcej, połać rybę i groszek. Można tę potrawę obłożyć grzankami z bułki, zrumienionymi na maśle, lub paluszkami z francuskiego ciasta.

Laboratorium Kosmetyków Higienicznych

Dr. J. Świtalskiej

Wysyłka za zaliczeniem pocztowym,
katalogi gratis.

Warszawa, Krucza 31, m. 3.

319

SURÓWKA LETNIA

Szklankę najmłodszego, łuskanego grószku, lupinki z niego oczyszczone z pergaminowej, wewnętrznej łuski i pokrajane w ładne, cienkie paski, ćwierć pęczka młodych kalarepek, uszatkowanych na tarce od buraków, i tyleż młodych karotek, pokrajanych w jaknajcieńsze plasterki (razem pół kilo kalarepki i karotek). Wszystko to lekko osolić, posypać łyżeczką (od herbaty) cukru, polać oliwą i sokiem z pół cytryny i potrzymać na lodzie godzin parę. Przed samym podaniem wziąć główkę twardej sałaty: sześć dużych liści oddzielić i ułożyć każdy na oddzielnym talerzyku. Kruchy, jasny środek sałaty drobno poszatkować, zmieszać z jarzynkami. Ułożyć w ładne piramidki na liściach i podawać natychmiast, aby sałata nie zwiędła i nie utraciła kruchości.

GALARETA WIŚNIOWA Z WINEM

Czterdzieści deka wisien z pestkami ugnieść dobrze łyżką (kilka pestek utłuc dla zapachu). Zalać dwiema szklankami wody, zagotować, precedzić przez gęste sito. Powinno być tego soku najmniej dwie i pół szklanki. Dodać trzydzieści deka cukru, sok z pół cytryny, raz zagotować. Dolać szklankę czerwonego wina (może być owocowe). Rozmoczyć w zimnej wodzie sześć listków białej i cztery czerwonej żelatyny, odcisnąć, rozpuścić w pół szklance gorącej wody, lecz nie gotować, gdyż galareta mogłaby nie stanąć. Zmieszać żelatynę z wiśniowym syropem. Powinno być całego płynu około czterech i pół szklanek. Przebrać do formy, postawić na lodzie, lub wynieść na sześć godzin do chłodnej piwnicy.

TARTLETKA MALINOWA

Dwadzieścia deka mąki, dziesięć deka masła i tyleż cukru-pudru zagnieść na kruche ciasto, dodając tyle bardzo zimnej wody, aby ciasto dało się cienko rozwałkować. Upiec w tor-

INSTYTUT PIĘKNOŚCI I ZDROWIA Dr. J. Świtalskiej

w Żegiestowie-Zdroju

poświęcony nowoczesnemu pielęgowaniu zdrowia, urodzony, młodości — został otwarty dnia 1.VII b. r.
Dr. J. Świtalska ordynuje od 1.VII b. r. 320

== Informacje: Dyrekcja Żegiestów-Zdrój. ==

townicy krążek z rantem, wysokim na dwa palce. Mocno zrumienić, wyjąć i ostudzić. Dwadzieścia deka ładnych malin ułożyć na ostudzonym cieście. Dziesięć deka gorszych malin ułogotować w półtorej szklance wody, precedzić, wycisnąć. Sok zmieszać z piętnastoma deka cukru i pięcioma listkami żelatyny, rozmoczonej w pierw w zimnej wodzie. Stygnącą galaretką zalać owoce. Trzymać na chłodzie aż do chwili podania.
Pani Elżbieta

KORESPONDENCJE

Pani W. M. — Żydaczów. — Robaka drzewnego wytepi Sz. Pani, napuszczając formaliną mebel, nawiedzony przez zbytecznego lokatora (po dokładnem oczyszczeniu mebli ostrą miotłką); robimy to zapomocą rozpylacza. O istotnej w tym roku, dzięki upałom, pladze pluskiew, naskutek licznych zapytań w kwestji tępienia ich, w najbliższym czasie pomówimy obszerniej.

Pani J. C. — Kutno. — Włożyć maliny w kamienny polewany garnek, wstawić go w kociołek z wodą, postawić na ogniu. Gdy woda się zagotuje, zdjąć i zostawić w ciepłe z kociołkiem na dwie godziny. Gdy maliny wystygną i wszystek sok wypuszczą, wlać go w płócienny worek — niech powoli ścieka bez wyciskania. Na litr soku wziąć 80 dk. cukru drobno rąbanego (najlepiej z głowy), nalać go sokiem, a gdy się rozpuści, zagotować, starannie wyszumować, ostudzić i zimny zlewać w suche butelki. Można także zrobić i wyszumować gęsty syrop, wlać weń sok, jeszcze zagotować, szumując, o ile potrzeba. Sposób doskonały i pewny.

Dobry również i bardzo oszczędny jest następujący: na kilo malin wziąć tyleż cukru, zrobić gęsty syrop, biorąc szklankę wody, wrzucić maliny i zagotować kilka razy, aż sok nabierze odpowiedniej gęstości. Wtedy przebrać przez gęste sito lub rzadki worek do porcelanowego naczynia, a gdy ostygnie, wlać w suche, czyste butelki i mocno zakorkować. Maliny zamrożone przefasować, dodać cukru, wysmażyć na ogniu i używać do omletów i tortów. W jednym i w drugim wypadku trzeba wrzucić na dwa litry soku pastylkę benzoesu.

Pani St. S. — Witkowie. — Kapy można zrobić na opalu, dekatyzując go przedtem. Do haftu trzeba użyć atłasku D. M. C., odpowiednio do grubości materiału, na którym kapy będą haftowane, nie grubszego jednak, jak 25-ty numer.

WYTWORNE PANIE!!!

UŻYWAJĄ DLA DYSKRETYCH PŁÓKAŃ

DAMOSAN



ESENCJĘ
KOSMETYCZNO-
ANTYSEPTYCZNA

ORYG. WYRÓB FIRMY HENRYK ŻAK, POZNAŃ.

295

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnoślaska 19, tel. 244-77

Druk. Zuki. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”. Rymarska 8, tel. 244-18

Nasza Mównica

Trzeba zapobiegać złemu zawczasu.

Jak przedziwnie odmienne jest poczucie etyczne u różnych ludzi, skonstatować możemy, słuchając wyurzeń autorek listów do „Mównicy” w „Bluszczu”. Co dla jednego sumienia jest, jak śnieg, białe, to dla drugiego będzie czarne, jak sadza.

Różnice poglądów zarysowały się bardzo jaskrawo przy omawianiu kwestji karalności spędzania płodu, a właściwie nietylko karalności, ile wartości etycznej tego czynu. Dla jednych sumień jest to potworna zbrodnia dzieciobójstwa, dla drugich zabieg chirurgiczny, który może być dokonany, byle bez sprzeciwu osoby zainteresowanej i przez chirurga fachowca.

Czy jest inne rzetelne kryterjum oceny etycznej poza busolą sumienia indywidualnego? Czy zatem istnieje dla nas, ludzi, tylko prawda indywidualna, t. j. wiele prawd sprzecznych? nie przesądzam. Niewzruszone nakazy i zakazy religijne, zrozumienie ludzkie, jak to sam Chrystus zaznaczył, interpretuje nieraz dowolnie i opacznie.

Autorka jednego z listów w tej sprawie, p. M. S., nawołuje do krańcowego bohaterstwa i rezygnacji: „nie zabijaj!”, więc umieraj, idź na śmierć pewną, matko, ale płodu wnętrzości twoich nie zabijaj. Bądź bohaterką, jak bohaterem jest żołnierz, idący na straconą placówkę... Ależ ten żołnierz idzie nietylko umrzeć, ale i zabijać właśnie, tak jak i inni bohaterowie cywilni, cytowani przez autorkę listu. Taki daje życie ludzkie, lub je naraża, dla zdobycia jakiegoś dobra, czy uniknięcia jakiegoś zła...

Autorka listu uważa za największe zło naszych czasów (czy tylko naszych?) brak odwagi wyciągania praktycznych wniosków ze swych wierzeń i przekonań; a kto wie, czy nie fatalniejszym tragizmem jest ów gordyjski splot zła, który stawia człowieka, może nawet bardzo wrażliwego na wartości etyczne, wobec konieczności wyboru pomiędzy dwiema zbrodniami!... To jest właśnie „przekleństwo złego czynu”, że tenże spełniony niekiedy z minimalnym współudziałem świadomości i woli, wciąga lekkomyślnego „grzesznika” w bezdeń wstrętnych, ale jakoby koniecznych już, jako konsekwencja czynów wtórnych.

Tak i w roztrząsanym przez nas wypadku: kobieta, którą poniosła miłość, czy może temperament, zachodząc w ciążę, może już nie wiedzieć, co jest mniejszą zbrodnią: czy urodzić dziecko, dając mu przekleństwo życia (nędzy, niechybnej śmierci głodowej i t. p.), czy mu to życie odebrać.

„Zły” list, głos potępienia p. Dzieciołowskiej i dobry list wyrozumienia i optymizmu, nie wierzącego w istnienie ohydy życia, p. Zawiszanki, wreszcie list p. M. S. i list p. Kowalewskiej, nie rozstrzygają dla mnie kwestji nieślubnego macierzyństwa; wszystkie jednak zdają się wielkim głosem nawoływać do głębszego, gruntowniejszego wychowania w dziewczynce jeszcze i w chłopaku poczucia odpowiedzialności wobec przyszłego pokolenia, cześć dla macierzyństwa i ojcostwa. Wtedy, zanim nadejdą burze życia, jest czas na uodpornienie, ale wówczas wychowawcy sądzą, że *jeszcze* nie czas, aby po kilku latach przekonać się, że *już* nie czas!

M. B. z Lubelskiego

Zanim klamka zapadnie.

Czytywałam dotąd w „Mównicy” obiektywnie różne głosy na temat „mieć, czy nie mieć”, nie wypowiadając się nigdzie ze swoim zdaniem. Dopiero p. Felicja Kowalewska z Krakowa niejako „pociągnęła mię za język”. Pani K. zajęła w tej sprawie stanowisko bezwzględne: albo jest się katoliczką, albo nie. W pierwszym wypadku nie uznaje żadnej dyskusji; w drugim przerywanie ciąży porównywa z najcięższymi zbrodniami.

Ja uważam, iż należy odróżnić usuwanie płodu od morderstwa niemowlęcia. Bogaci ludzie radzą sobie w ten sposób, że usuwają płód, a biedacy zabijają nowonarodzone dzieci. Co pani woli?

Płód zaczyna się od chwili zapłodnienia, więc, według pani, zbrodnią powinno być i używanie wszelkich „dobrych, tanich, a pewnych środków”. Opinia publiczna jednakże tych środków nie uznaje za narzędzia mordu. Dużo małżeństw katolickich posiada tylko po dwoje dzieci, a śmiem wątpić, czy żyje w bezwzględnej wstrzeźliwości. Nie wątpię też, że gdy się „zapomni” niezamężna córka religijnej matki (bo i to się zdarza), to matka owa natychmiast postara się przerwać ciążę, aby uniknąć skandalu.

Wynika z tego, że, jak oddawna przerywano ciążę, tak ze wzrostem cywilizacji będzie ją się coraz częściej przerywać, jak to ma dziś miejsce u narodów z wysoką cywilizacją. Najsurowsze prawa od tego nie odstraszą. Dzienniki doniosły, że w ostatnich dniach w przeciagu *jednego tygodnia* w samym okręgu Bydgoszczy zamordowano pół tuzina nieślubnych niemowląt! Jest to zastraszające, ale z dwojga złego byłoby lepiej wybrać mniejsze, to jest ten t. zw. niedozwolony zabieg.

To jedna sprawa; drugą jest sprawa nieślubnych dzieci. Wszystkie głosy, jakie się dotychczas odezwały w „Mównicy”, przypisały winę w tym wypadku tylko nieślubnemu ojcu. Czy jednak zawsze winę ponosi tylko mężczyzna? Znany mi jest wypadek, że pewna panna „zapomniała się” aż siedem razy i posiada siedmiorgo nieślubnych dzieci, pobierając, oczywiście, na wszystkie, alimenty! W innym wypadku matka kilkorga dzieci nieślubnych uzyskała sądownie skazanie pewnego sierżanta na 70 zł. miesięcznie i na areszt, za użycie wobec niej obraźliwych słów z racji jej złego prowadzenia się! W sądach codziennie odbywa się po kilka takich spraw, a w szkole w każdej niemal klasie spotyka się po kilkoro dzieci nieślubnych. Skąd to pochodzi? Oto kobiety liczą na alimenty i łatwą egzystencję. Na Górnym Śląsku nigdy nie utrzymywanie nieślubnych dzieci. Wiele panien poprostu poluje na takie okazje. Prawe dzieci mogą głodem przymierać, ale matki nieślubnych zawsze przez komornika ściągają swoją należność.

Widać stąd, że daleko idąca opieka nie zaradzi złemu.

Kazimiera S. — Królewska Huta

W sprawie małżeństwa głos męski.

W artykule „O szczęście” rzucone zostało zdanie, żeby wypowiedzieli się i mężczyźni.

Czynię to, trochę po amatorsku, ale szczerze.

Zgadzam się z autorką artykułu, że kwestja ta zostanie zawsze nierozwiązana, ale dyskusja na ten temat może uczynić wiele dobrego.

Chciałbym tutaj dorzucić kilka skromnych obserwacji, które, jako pochodzące od przedstawiciela płci brzydkiej, mogą uprzytomnić cośkolwiek psychologję tej ostatniej.

Jedną z wielkich zasług obecnych czasów jest właśnie dążność do ujęcia charakterologii płci w naukową teorię.

Nauka ta nie zapewni człowiekowi większej dory szczęścia, ale może go uchronić przed nieszczęściem.

Mojem skromnem zdaniem, wszelkie dysonanse, powstające w małżeństwie, w 90 procentach mają swoje źródło w nieznanomości psychologji przeciwnej płci. Pod tym względem jesteśmy wszyscy na poziomie znachorstwa. Krażą między nami różne powiedzenia, frazesy z różnych dzieł wielkich myślicieli, poetów i psychologów, przysłowia... Ale materiał ten nie posiada naukowej podstawy, takiej, ażeby mógł nas nauczyć w sposób prosty, jasny i logiczny.

Uczymy się w szkole wszystkiego, ale nie uczymy się umiejętności, od której zależy szczęście wewnętrzne nasze i naszego otoczenia: *nie uczymy się umiejętności współżycia.*

Każda jednostka, każde małżeństwo, każda rodzina umiejętność tę musi zdobywać samodzielnie, od początku, a wiedza ta przechodzi tradycją ustną, omal w każdej rodzinie innymi drogami.

Stwarza to wprawdzie wielką różnorodność charakterów, poglądów i indywidualności, ale utrudnia ogromnie życie wewnętrzne.

Zazwyczaj dopiero ludzie 30—40 letni zaczynają pod omawianym względem udoskonalać się wewnętrznie.

Jednak związki małżeńskie zawieramy wcześniej, bardzo młodo, wtedy, kiedy umysł nie posiada dostatecznej ilości własnego doświadczenia.

Dlatego nauka, ujmująca kwestje współżycia i odmienności psychologji płci, byłaby dla tych ludzi nieocenioną wskazówką.

Nieszczęście w małżeństwie ma źródło w dwu przyczynach:

1) Pierwsza, to zbyt wielkie wymagania od życia, zbyt wielki idealizm. Tem grzeszą bardziej kobiety.

2) Drugą przyczyną jest niezrozumienie psychologji odmiennej płci. Traktowanie wad płci, jako wad jednostki (najczęstsze błędy męskie).

Pierwsza przyczyna jest dostatecznie jasna, możnaby przytoczyć setki dzieł sztuki i literatury, omawiających tę kwestję bardzo wszechstronnie.

Druga przyczyna, jako problem, wyłoniła się bardzo niedawno.

Na ten temat chciałbym powiedzieć kilka słów.

Przedewszystkiem stwierdzam, że kobiety lepiej znają psychologję męską, aniżeli mężczyźni kobietę.

Kobiety czytają więcej dzieł beletrystycznych, więcej się tą kwestją zajmują i nawzajem pouczają. Choćby tylko uprzytomnić sobie stosunek matki do córki i syna.

Mężczyzna, prowadząc z kolegami rozmowy bardziej swobodne i rubaszne, zapoznaje się z psychologją przeciwnej płci z jej najgorszej strony.

Przychodzą studja wyższe, często fachowe, w czasie których poprostu niema czasu na przeczytanie jakiegokolwiek głębszej powieści; potem życie zawodowe.

Mężczyzna obraca się w kole kobiet, sobie sympatycznych, i już przez to samo obserwacje jego ograniczają się tylko do jednego typu, zwykle bardzo je-

dnostronnego (mówię o charakterze), a więc i sąd jego o kobietach jest jednostronny.

To, co tutaj piszę, to tylko główne wytyczne moich wniosków, do których doprowadziły mię studja przyrodnicze i rozmowy na ten temat z kolegami i kobietami.

Naogół uderzyła mię ogromna u mężczyzn nieznanomość kobiet. Nie chcę tutaj przytaczać poszczególnych zapatrywań, ale wiele z nich przynosi ujmę tym, którzy w ten sposób myślą jeszcze dziś, w XX-ym wieku.

Natrafia się poprostu na jakąś twardą skorupę różnych powiedzeń (które często są mocno sparodjowanymi ideami wielkich myślicieli i przyrodników), którą móżg męski jest otoczony.

Właśnie obecnie, gdy kobieta staje obok mężczyzny pod względem wykształcenia i pracy, jest czas odpowiedni, ażeby przełamać ten konserwatyzm męski i tę niechęć do widzenia w kobiecie człowieka innego, inaczej myślącego, ale często bardziej, niż on, wartościowego.

Uczymy dzieci przyrody w szkołach, ale nauka ta jest tylko opisową (morfologja), nie uczymy jednak wyciągać z niej analogji, nie mówimy chłopcom, że ich żony będą matkami.

Gdyby dorastający mężczyzna poznał w przyrodzie psychologję macierzyństwa, jakże inaczej patrzyłby on na kobietę, jakże inaczejby ją rozumiał! O ileż ona byłaby szczęśliwsza, widząc u niego głębokie zrozumienie dla jej instynktów.

Dlatego mężczyzna tak często jest brutalny względem kobiety, tak często egoistyczny, gdyż sądzi ją podług siebie, nie ma naukowego zrozumienia dla jej uczucia, które, siłą faktu, musi być zbudowane na innych podłożach.

Daleki jestem od chęci walki z przesadami, chciałbym jednak, żeby słowa moje trafiły do matek, zwłaszcza matek synów, i żeby przyjęły słowa moje, jako szczerze wyznanie. Żeby oszczędziły synom swoim wielu mąk i rozczarowań, jak to potrafiła uczynić moja, przedwcześnie zmarła matka.

Przy wychowywaniu chłopców dziwnie jakoś mało czasu poświęca się uczuciu. Istnieje głęboko zakorzenione przekonanie, że przyznanie się mężczyzny do uczuciowości jest upokarzające. Nic mu się nie mówi, że kiedyś będzie kochał.

Chłopak tymczasem wyrabia sobie o kobiecie zdanie, często zbyt idealne, poprostu pozbawione jakichkolwiek cech ludzkich.

Następuje pierwsze spotkanie i pierwsze rozczarowanie, a potem naturalnie do końca życia sceptyczny pogląd na kobietę.

Dalej, mężczyzna rzadko kiedy zdaje sobie sprawę, że miłość kobiety ma dwie zasadnicze części składowe: miłość seksualną i miłość macierzyńską; gdy u mężczyzny istnieje tylko pierwsza, którą on dzieli na duchową i fizyczną.

Nie chciałbym obarczać już i tak przeciążonego naszego szkolnictwa, ale pragnąłbym uprzytomnić rodzicom, że istnieje pewna dysharmonja między naszymi metodami wychowywania, a życiem praktycznem.

Przyszłego obywatela przedewszystkiem trzeba przygotować do życia publicznego i rodzinnego. Nie można tego czynić fragmentarycznie, urywkowo, przygodnie, ale podać mu to w formie naukowej.

Dlatego, mojem zdaniem, winno się u nas zwołać „Kongres życia rodzinnego“, rozdać poszczególne referaty ludziom światłym, kobietom i mężczyznom, którzyby wspólnie opracowali wytyczne dla wcho-
dzących w życie kobiet i mężczyzn.

Zaczynają odzywać się coraz częściej głosy, że

wyłania się potrzeba opracowania poradnika zawodowego.

A czyż próbował kto kiedy napisać poradnik, oparty na prawdziwej dyscyplinie naukowej, o budowie życia uczuciowego, rodzinnego i wpływających stań obowiązków?

Może wyda się śmieszne pisanie takiej książki, gdy mamy taką bogatą beletrystykę. Ale właśnie o to mi chodzi, że brak nam dzieła, traktującego małżeństwo i uczucie bez zabarwienia literackiego. Literatura piękna pomija cały szereg szarych obowiązków, o których ludzie, zawierający małżeństwo, poprostu nie myślą, albo, co gorsza, nie wiedzą.

Chciałbym tu jeszcze poruszyć jedną kwestję, ze wspomnianego artykułu, a mianowicie: rolę piękna w małżeństwie.

Nie wdając się w bliższą analizę piękna, które jest podług mnie, uczuciem subiektywnym, nasuwa mi się tutaj konieczność głębszego wniknięcia w stosunek małżeństwa do piękna.

Gdyby każdy mężczyzna wiedział, jak prędko „oswajamy się“ z najbardziej nawet zachwycającym nas pięknem, jak piękno jest nieodłączną funkcją czasu, jak zmysły nasze „tępieją“ na nie bardzo prędko, a stają się wrażliwe na piękno przeciwnego znaku, wtedy wiele kobiet „pięknych“ nigdy nie wyszłoby z małżeństw, a wiele istot, dziś niewidzianych, zajęłoby ich właściwe miejsce.

Na tem tle następuje najwięcej pomyłek w zawieraniu małżeństw.

Wszystko, co tu piszę, dla osób starszych, doświadczonych, jest naiwnie proste; ale dla wstępujących w życie jest to zagadką, na którą nie potrafią dać odpowiedzi ich młode i niedoświadczone dusze.

Sztuka, już z natury swojej, na pierwszy plan kładzie piękno i pięknych bohaterów stroi w piękne dusze; natomiast życie postępuje inaczej i, niestety, często całkiem odwrotnie.

Dlatego literatura nie daje podstaw do poznania życia i nie chroni od popełniania błędów.

Reasumując to, co było wyżej powiedziane, dodać muszę:

Współżycie w małżeństwie będzie dopiero wtedy pozbawione rozczarowań i niespodzianek, gdy młodzi ludzie (głównie mężczyźni) poznają psychologję odmienną płci i gdy będą wiedzieli, na jak kruchych podstawach oparte jest piękno zewnętrzne (zmysłowe) i jak prędko przestaje ono robić wrażenie, jakie wywierało początkowo.

Ważne to jest dla matek, które wcześniej powinny wpoić w swoich synów:

- 1) psychologję macierzyństwa,
- 2) obowiązki życia rodzinnego,
- 3) prawdę o krótkotrwałości życia zmysłowego.

Inż. O. E. Bor-ski.

Matka musi mieć czas dla dziecka.

Wielokrotnie powtarza się w pismach kobiecych zagadnienie, jak pogodzić pracę zawodową z obowiązkami żony i matki. W „Bluszczu“ i w „Mównicy“ dużo było artykułów na ten temat. Jedne panie występowały gorąco w obronie praw kobiety zameżnej do pracy zawodowej, twierdząc, że przy dobrej organizacji tej pracy i swego gospodarstwa, można doskonale pogodzić oba obowiązki; inne (bodaj liczniejsze) skarżyły się na konieczność zarabiania. Te ostatnie jednak narzekały głównie na zmęczenie osobiste, na niemożność użycia jakiegokolwiek rozrywki, lub choćby zajmującej lektury. Żadna z pań jednak nie podniosła najważniejszej trudności w naszej pracy zawodowej. Oto przychodzi czasem chwila, że staje ona

wprost w kolizji z naszymi obowiązkami macierzyńskimi, ze zdrowiem naszych dzieci. Jako przykład, podam to, czego doświadczam osobiście.

Jestem nauczycielką; chcąc, podług wskazówek lekarza, unormować karmienie mojej córeczki, muszę przedłużyć 10 minutową pauzę szkolną, jedną, jeśli mam lekcje do 1-ej, dwie, gdy do 2-iej. Ponieważ nauczycielka nie może się spóźnić, zwróciłam się do swego inspektora, prosząc o uwzględnienie mego położenia. Otrzymałam jednak odmowę formalną, z uмотywowaniem, że nauczyciel powinien spełniać swe obowiązki *gorliwie i sumiennie* i z zapowiedzią, że, o ile nie zastosuję się do danego rozporządzenia, zostanie mi wytoczona sprawa dyscyplinarna, niema bowiem żadnej ustawy, pozwalającej kobietom-nauczycielkom na takie ulgi.

I co zrobić? Jak na to poradzić? Nie znam dokładnie ustawy o ochronie pracy robotnic, ale wiem ogólnie, że robotnica ma prawo do godzin wolnych dla karmienia swego niemowlęcia, że może wyjść z fabryki i udać się do żłobka, aby tam dziecko nakarmić. Dlaczego niema takiej ustawy dla pracowni umysłowych? Rozumiem, że nauczyciel musi przybyć na lekcję punktualnie; gdyby jednak była taka ustawa ochrony macierzyństwa dla kobiet, pracujących umysłowo, to plan godzin w szkole też musiano by do nich zastosować. Powie kto, że to zbyt trudne? A czy nie tak samo trudne wydawało się jeszcze niedawno danie kobiecie płatnego urlopu na kilka tygodni przed i po porodzie? Wszystko zrobić można, jeśli jest dobra wola.

Spółczenstwo korzysta z pracy mężczyzn tylko ze strony ich fachu, zdolności i t. p.; pracująca kobieta, prócz tego wszystkiego, daje społeczeństwu jeszcze dzieci; należy się jej więc od tego społeczeństwa specjalna ochrona, należy się możliwość nietylko urodzenia, ale *mychowania* zdrowego potomstwa. Powinna więc być wydana ustawa, pozwalająca matce na takie rozłożenie pracy, aby mogła podczas niej karmić swoje dziecko; tak samo należy się domagać, aby w razie stwierdzenia przez lekarza ciężkiej, groźnej choroby dziecka, matka mogła otrzymać urlop. Nie byłoby wtedy takiej tragedji, jaką przeszła p. A. Z.

Dążmy więc do tego! Może inne pracujące kobiety, może koleżanki-nauczycielki zechcą wypowiedzieć się w tej sprawie; należyte naświetlenie jej w dyskusji poruszy opinię i uświadomi nasze posłanki, że sprawa ta jest paląca i że należy zwrócić na nią uwagę.

Wanda S.

Nowa instytucja pomocy dla sierot.

„Nasza Mównica“ porusza tyle aktualnych spraw społecznych, że może i niniejsza zainteresuje Szanowne Czytelniczki.

W tym roku powstała nowa instytucja pod nazwą „Komitetu Umieszczania Sierot w Rodzinie“. Niejednej z pań wydać się może zbyt wąską niniejsza akcja, ponieważ istnieją domy wychowawcze, sierocińce, gniazda sieroce i t. p. zakłady. Komitetowi nie idzie o efekt publiczny, lecz o główną zasadę przy wychowaniu dzieci: o danie sierotom możliwie normalnych warunków życia i wychowania z nich ludzi pełnowartościowych. Tego żadną miarą nie osiągniemy w zakładach z nadmiarem dzieci i brakiem odpowiedniej ilości budynków dla nich.

Urządzenie wzorowych zakładów wymaga ogromnych kosztów, na co Polska nie stać jeszcze. 50 tysięcy sierot wychowuje się w zakładach, niezupełnie dobrze prowadzonych, a w każdym razie

w sztucznych tworzywach, jeżeli chodzi o wychowanie, a nie o uczenie dzieci. Pomimo najszczerzej chęci opiekunów zakładowych, dziecko nie może mieć serdecznej i tkliwej opieki domowej, boć wiemy, że jedna wychowawczyni przypada na 60 drobiazgu. Kto zwiedzał „Dom Wychowawczy” w Warszawie, tego smutek ogarnął na widok tych istotek, leżących lub chodzących w osamotnieniu. Małeństwa w kołysce uśmiechają się radośnie do zbliżającej się osoby, a robią tragicznie smutne minki, gdy się od nich oddala. Starsze wprost rzucają się jedno przez drugie na wchodzącą osobę, aby zaznać choć trochę czułości. Prócz spraw emocjonalnych, wszyscy kompetentni pedagogowie stwierdzają, że dzieci zakładowe są zawsze mniej rozwinięte umysłowo i uczuciowo od dzieci w rodzinach, nawet mniej inteligentnych. Zawsze słów dziecka trzyletniego w zakładzie odpowiada wiadomościom słownym półtorarocznego dziecka w rodzinie (mówię o dzieciach normalnych). Na zasadzie tych badań, Komitet chce ulżyć i pomóc sierotom w ich rozwoju.

Działalność Komitetu znalazła oddźwięk w kilku miastach prowincjonalnych; w Warszawie Wydział Opieki Magistratu zainteresował się również tym projektem. Umieszcza się sieroty w rodzinie za opłatą, ustanowioną przez Komitet lub Magistrat, ewentualnie przez gminę. Powołane wizytatorki kontrolują stale warunki, w jakich przebywają oddane sieroty. Matki już wiele przykładów wzajemnego, wzruszającego przywiązania dzieci i wychowawców. Sieroca dola przy tym systemie wychowania jest złagodzona, daje to dodatnie wyniki rozwoju moralnego i umysłowego.

Główną rzeczą jest staranny wybór odpowiednich rodzin, zgłaszających się o dziecko, i kontrolowanie opieki na miejscu przez wizytatorki, narazie honorowe. Ilez jest małżeństw bezdzietnych lub osób samotnych, które, zachęczone przez członków Komitetu, umililyby życie sobie i sierocie, już to wzięwszy małeństwo na wychowanie, już to odwiedzając je w opiekującej się rodzinie.

Chciałam zainteresować tą sprawą Szanowne Panie z prowincji, które mogłyby przy istniejącej już instytucji społecznej zorganizować sekcję umieszczania sierot w rodzinach.

Inicjatorką Komitetu jest nauczycielka państwowego kursu służby społecznej dla dziecka, b. wizytatorka pomorskiego okręgu szkolnego, p. Wanda Szumanówna. Komitet jest zalegalizowany przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej. Informacyj szczegółowych może udzielić p. Szumanówna: Nowy Świat 19 — Kursy służby społecznej dla dziecka.

Tymczasowa siedziba Komitetu: Sewerynowka 4, m. 3. J. Z. — Warszawa

Nasza ankieta gospodarcza.

- 1) Wszystkie sprawunki załatwiam osobiście, posługuję się służącą w wyjątkowych wypadkach.
- 2) Kupuję stale w jednych sklepach, do których mam zaufanie.
- 3) Przedewszystkiem kupuję wyroby krajowe, a w razie ich braku zagraniczne, gdyż jestem zdania, że nie ustępują one towarom zagranicznym, a zato w cenie jest znaczna różnica.
- 4) Jeśli chodzi o wyroby luksusowe, to może jest tu mały wybór, pozatem w ramach mych wymagań znajduję prawie wszystko.
- 5) Przyczyny różnych braków wyjaśniam tem, że kupcy tutejsi nie są może tak zasobni materialnie, by móc sprowdzić rzeczy, które naogół mają niewielu nabywców. Szczególne

trudności znajduję w kupnie dodatków do sukien, co też wynika z miejscowych warunków.

6) Duże braki widzę w opakowaniu paczek. Rzadko np. używają w sklepach sznurka do zawinięcia paczek, co sprawia dużo kłopotu kupującym, zwłaszcza, gdy ma się załatwić większą ilość sprawunków. Miary i waga są solidne.

7) Zazwyczaj nie posługuję się reklamami, gdyż nie znając dobrze jakiejs firmy, boję się oszustwa.

9) Stosując się do swych warunków materialnych, prawie nie kupuję w wielkich miastach, chyba przygodnie, a już specjalnie nigdy nie wyjeżdżam.

10) Specjalną uwagę kładę na to, by Redakcja tygodnika „Bluszczy” w swych artykułach poruszyła sprawę solidnego pakowania paczek. L. — Królewska Huta

1) Przeważnie wszystkie zakupy załatwiam sama, artykuły spożywcze, zwłaszcza w dnie targowe na rynku, kupuje służąca.

2) Artykuły spożywcze kolonialne w jednym sklepie, nabiał u kobiety, która przyjeżdża ze wsi raz na tydzień; jarzyny, owoce i czasami mięso, zwłaszcza drób i ryby, na rynku. Garderobę w różnych sklepach.

3) Znaczniejszą różnicę między naszymi a zagranicznymi wyrobami widzę jedynie w perfumerji, pozatem wszystko nasze zaspokaja moje wymagania i potrzeby.

4) Jeżeli chodzi o artykuły pierwszej potrzeby, to są tu wszystkie potrzebne sklepy, jedynie bardzo odczuwa się brak sklepu, w którym możnaby nabywać płótna ludowe, kilimy, wyroby z drzewa, zabawki dziecinne o charakterze narodowym i ludowym. Zabawek tu bardzo dużo, ale wszystkie albo niewieckie, albo na wzór niemieckich robione tandetnie.

5) Dotychczas nie reklamowałam w razie zauważonych braków.

6) Kupcy są tu uprzejmi, kredytu udzielają chętnie, waga i opakowanie dostateczne. Niektóre sklepy posiadają wyjątkowo uprzejmą usługę.

7) Ogłoszeniami się nie kieruję. Zwykle kupuję w firmach, polecanych mi przez znajomych, a ci polecają firmy tego godne. Dlatego, uważam, kupcy powinni bardzo się starać zadowalać swoich klientów, bo ci są dla nich najlepszą reklamą.

8) W „Bluszczy” i wogóle w pismach kobiecych chciałyby widzieć ogłoszenia, polecające jakieś nowe wynalazki: upraszczające nasze prace codzienne, ale wynalazki wypróbowane, naprawdę praktyczne, jakieś pomysłowe zabawki dla młodszych i starszych dzieci, bo pewnie i w tem są nowości (chętnie przeczytałoby się taki artykuł: „jak i czem zająć i zabawić dzieci w domu i ogrodzie”), odpowiednie dla nich książki z krótką treścią lub recenzją, wreszcie dobre środki kosmetyczne. K. Migdałowska — Królewska Huta

1) Załatwiam wszystkie sprawunki sama, prócz mebli, które kupujemy wspólnie z mężem.

2) Mam dostawców stałych.

3) Widzę różnicę w następujących towarach zagranicznych: perfumy, lakier do paznogi, jedwab, wyroby codziennego użytku porcelanowe czeskie, imitują porcelanę niezłą i trwałą.

4) W Kołomyi brak mocnych pończoch, nici szpulkowych do szycia, są w lichym gatunku. Brak zupełnie kawy zbożowej Fuchsa, sklepy jej wcale tutaj nie wypisują. „Enrilo”, uważam, nie przynosi żadnej korzyści dla dzieci.

5) Gdy się zwróci uwagę, to stale słyszy się odpowiedź: „Tutaj nam nie trza”.

6) Wielka też oszczędność papieru: w cukierniach stale brak pudełek zwykłych tortowych, lub do ciastek. Opakowanie bardzo marne, często trzeba się obejść bez sznurka. Co do kredytów, to rzecz przedstawia się smutnie, gdyż, chcąc coś nabyć, musimy udawać się do sklepów żydowskich, gdzie udzielają największych kredytów. W sklepach polskich wszędzie widnieją napisy: „Kredytu nie udzielamy”.

H. Radwan-Rybicka — Kołomyja